

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 3 (1210) 15 STYCZNIA 1984 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

„Pierwszego cudu dokonał Jezus w Kanie Galilejskiej” ● Zanim przyszło wyzwolenie ● Złoty jubileusz parafii NMP – Matki Miłosierdzia w Ostrowcu Świętokrzyskim ● „Rodzina” – dzieciom ● Porady



Był to styczeń

TADEUSZ KUBIAK



*Tak dziś miło pobiec z saneczkami,
kiedy idą z nami nasze mamy
na niedzielny spacer do Łazienek.
Tak wesoło ścigać się z wiewiórką,
gdy śnieg spada jak gołębie piórko,
tak jak w „Baju”, gdy zima na scenie.*

*Nie tak kiedyś było tu, w Łazienkach.
Pod ciężkimi butami lód pękał,
szli żołnierze na lewy brzeg Wisły.
Był to styczeń. Śnieg. Styczniowy mróz,
kiście śniegu niby pąki bzów —
rozkwitwały na pokrzywach niskich.*

*A żołnierze szli z dalekich stron,
szli wyzwolić to miasto, twój dom.
...Wielu z nich gdzieś po drodze zostało.
Szli do Polski, do najbliższej ziemi,
do Warszawy szli, do niej stęsknieni.
Wiatrem wiało i śniegiem sypało.*

*Dziś żołnierze — choć starzy — codziennie
upiększają tę warszawską ziemię.
Nowe domy budują i szkoły, i kina...
Jak dziś miło, no, sam tylko powiedz,
z saneczkami do Łazienek pobiec,
gdy się wojnę już tylko wspomina.*

17 stycznia — 39 rocznica wyzwolenia Warszawy

DRUGA NIEDZIELA PO OBJAWIENIU

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Rzymian (12,6-16)

Bracia: Mamy dary według użytej nam łaski różne bądź to prorocstwo w zakresie wiary, bądź to wykonywanie urzędu, w nauce — dar nauczania, w upominaniu — dar strofowania. Kto rozdaje, niech to uczyni w prostocie, kto jest zwierzchnikiem, niech się przejmie troską, kto pełni uczynki miłości, niech to czyni z weselem. Miłość wasza niech będzie bez obłudy. Znienawidźcie zło, a przyłgnijcie do dobra. Miłością braterską nawzajem się miłując w okazywaniu czci jedni drugim uprzedzając. W gorliwości nie słabnąc, duchem płomiennym, Panu służąc, radując się z nadziei, w ucisku wytrwali, w modlitwie gorliwi. Potrzeby świętych wspomagajcy, gościnności strzegący. Błogosławcie prześladowających was, błogosławcie, a nie przeklinajcie. Weselcie się z weselącymi, płaczcie z płaczącymi. Bądźcie między sobą jednomyślni, nie wynosząc się nad innych, ale się z pokornymi zgadzając.

Ewangelia według św. Jana (2,1-11)

Onego czasu: odbywały się gody weselne w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody Jezusa. A gdy zabrakło wina, rzekła Matka Jezusa do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Zostaw to mnie, niewiasto, jeszcze nie nadeszła godzina moja. Mówi tedy Matka Jego do sług: Uczynicie, cokolwiek wam powie. A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych dla obrzędowych obmyć żydowskich, z których każda mogła pomieścić dwa lub trzy wiadra. Rzekł im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż po brzegi. I rzekł do nich Jezus: Zaczepnijcie teraz i zaniescie gospodarzowi wesela. I zaniesli. A gdy gospodarz skosztował wody, która się stała winem, a nie wiedział skądby się wzięło (lecz słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli), przywołał gospodarz wesela oblubienica i rzekł doń: Każdy człowiek daje naprzd dobre wino, a kiedy się napiją wtedy to, które jest gorsze, a ty zachowałeś dobre wino aż do tego czasu. Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i okazał chwałę swoją, i uwierzyli wń uczniowie Jego.

„PIERWSZEGO CUDU DOKONAŁ JEZUS W KANIE GALILEJSKIEJ”

W świętą noc narodzenia Jezusa, głosy aniołów i światło cudownej gwiazdy ogłosiły całemu światu jego boską godność. Później głos Ojca niebieskiego — dochodzący z nieba — objawił Go ludowi, zgromadzonemu nad brzegami rzeki Jordan. Wreszcie cuda Chrystusowe, dokonane na przestrzeni trzechletniej działalności publicznej, wielokrotnie zwracały uwagę na Jego nadprzyrodzone posłannictwo. W kolejne niedziele po Objawieniu Pańskim (tak bowiem liturgia nazywa uroczystość Trzech Mędrców) ukazuje nam Kościół te zdarzenia z ewangelii, w których Chrystus objawił swoją moc boską. Tak więc oglądając będziemy Boga-Człowieka jako cudotwórcę, lekarza, władcę przyrody, sędziego i twórcę Kościoła, będącego królestwem Bożym na ziemi.

W rozważaniu niniejszym — w oparciu o ewangelię (J 2,1—11) — przyjrzymy się pierwszemu cudowi dokonанemu przez Jezusa, którym uświetnił on gody w Kanie Galilejskiej. Następnie zastanowimy się nad istotą cudów oraz zwrócimy uwagę na ich rodzaje i cel.

Relację o powołaniu pierwszych uczniów (J 1,35—51), kończy Jan opowiadaniem o rozmowie Chrystusa z Natanaelem. Stanowi ona dla Ewangelisty punkt oparcia dla ustalenia chronologii następujących po niej wydarzeń. Zaznacza on bowiem, że „trzeciego dnia było wesele w Kanie Galilejskiej” (J 2,1a). Jest to dzisiejsze Kefr Kenna, leżące około 10 kilometrów w kierunku północno-wschodnim od Nazaretu, przy drodze wiodącej do Tybaryady i Kafarnaum.

Ustaliliśmy chronologię opisywanych faktów, przechodzi autor czwartej Ewangelii do szczegółowego opisu wydarzenia. Zaraz na wstępie zaznacza: „Była tam matka Jezusa. Zaproszono też Jezusa wraz z jego uczniami na to wesele” (J 2,1b—2). A ponieważ z Kany pochodził Natanael, niektórzy egzegeci są zdania, że to on zaprosił Jezusa i uczniów (Andrzeja, Szymona-Piotra, Jana i Filipa) na gody weselne, odbywające się u jego krewnych lub przyjaciół. Jednak słowa Ewangelisty „była tam matka Jezusa” pozwalają wnioskować — i wydaje się to najbardziej prawdopodobne — że Maryję łączyły z którymś z nowożeńców więzy pokrewieństwa. Dlatego też przybyła ona wcześniej, by służyć pomocą w przygotowaniach do uroczystości.

Następnie — nie zajmując się opisem przebiegu ceremonii zaślubin — autor Ewangelii przechodzi do problemów zasadniczych. Stwierdza bowiem, że jeszcze przed końcem przyjęcia weselnego zabrakło wina, co musiało zapewne wywołać zakłopotanie gospodarzy. Daje temu wyraz, gdy pisze: „A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusa do niego: Wina nie mają” (J 2,3). Jej zdaniem powinno to wystarczyć. Odpowiadając jednak, „rzekł do niej Jezus: Czego chcesz ode mnie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (J 2,4). W odpowiedzi tej każdy zrozumiałby odmowę. Maryja jednak była przekonana, że chociaż Syn pozornie odmówił jej prośbie, na pewno może liczyć na jego pomoc. W poczuciu tej pewności, „rzekła matka jego do sług: Co wam powie (Syn mój) czyńcie!” (J 2,5). I na spełnienie swej prośby nie musiała zbyt długo czekać.

W przedśionku domu weselnego — o czym dowiadujemy się z Ewangelii — „było... sześć stągwi kamiennych, ustawionych według żydowskiego zwyczaju oczyszczenia, mieszczących w sobie po dwa lub trzy wiadra” (J 2,6). Uczestnicy wesela czerpiąc z nich wodę, dokonywali rytualnych obmywań rąk i naczyń, nakazanych przez prawo starozakonne. W tej chwili jednak były już puste.

Wówczas Jezus — zwracając się do służby posługującej gościom weselnym — rzekł: „Napełnijcie stągwie wodą!” (J 2,7a). A wykonując to polecenie, „napełnili je aż po brzegi” (J 2,7b). Bezpośrednio potem polecił im Jezus: „Zaczepnijcie teraz i zaniescie gospodarzowi wesela! A oni zaniesli” (J 2,8). Gdy więc gospodarz zobaczył tak wiele wina i skosztował go (a należało to do jego obowiązków), zdziwił się bardzo. Zwracając się zaś do oblubienica, powiedział doń z wyrzutem: „Każdy człowiek daje najpierw dobre wino, a gdy sobie podpiją, wtedy gorsze; a tyś dobre wino zachował aż do tej chwili” (J 2,10). Jednak i dla niego było to zaskoczeniem. Należy przypuszczać — chociaż Ewangelista nic o tym nie wspomina — że dopiero rozmowa ze służbą weselną wyjaśniła, iż sprawcą tej „niezwykłej niespodzianki” był Jezus z Nazaretu.

Opowiadanie swoje kończy Jan słowami: „Takiego pierwszego cudu dokonał Jezus w Kanie Galilejskiej” (J 2,11a). Rzeczywiście. Jest to pierwszy i jakże miły cud — jak tłumaczy łagodny Alosza z powieści Fiodora Dostojewskiego „Bracia Karamazow” — gdy Chrystus nawiedza ludzką radość, a nie ludzkie cierpienia”. W ten sposób Syn Boży „objawił chwałę swoją i uwierzyli wń uczniowie jego” (J 2,11b). To właśnie było zasadniczym celem pierwszego cudu. I cel ten został w pełni osiągnięty. Dlatego zapewne Ewangelista nie wspomina już, jaka była reakcja pozostałych gości.

Na podstawie relacji o cudownym przemienieniu wody w wino łatwo możemy określić, na czym polega istota cudu. Otóż według teologii katolickiej, cudem nazywamy nadzwyczajne zdarzenia widzialne, którego nie może dokonać żadne stworzenie, tylko sam Bóg.

Ewangelista niezwykle szczegółowo opisują ponad czterdzieści cudów zdziałanych przez Chrystusa, a znacznie więcej wspomnianych jest w sposób ogólny (Mt 4,23; 9,35). Warto jednak pamiętać, że wiele cudów — jak to wynika z relacji autora czwartej Ewangelii (J 20,30-31) — nie zostało zapisanych. Z przekazów Ewangelistów jest nam wiadomo, że Bóg-Człowiek:

— dokonywał cudów na naturze martwej dając tym dowód, że jest władcą przyrody. Tak więc: przemienił wodę w wino (J 2,1-11), uciszył burzę na morzu (Mt 8,26), chodził po falach morskich (Mt 14,24), pięcioma chlebami i dwoma rybami nakarmił pięć tysięcy ludzi (Mt 14,16-21) a kiedy indziej siedmioma chlebami i kilku rybami zaspokoił głód czterech tysięcy słuchaczy (Mt 15,32-38).

— swoim słowem uzdrawiał ludzi z wszelkiego rodzaju chorób. Bowiem przy sadzawce Owczej w Jeruzolimie uzdrowił człowieka od trzydziestu ośmiu lat złożonego chorobą, mówiąc: „Wstań, weź łożę swoje i chodź” (J 5,8). Kiedy indziej niewiasta cierpiąca na krwotok, skoro tylko dotknęła się szaty Jezusa (Łk 8,42-48), natychmiast odzyskała zdrowie. Obok sadzawki Siloe przywrócił wzrok ślepo urodzonemu (J 9,6-7). Przywracał sprawność sparaliżowanym, dokonywał oczyszczenia trędowatych, otwierał usta niemym a uszy głuchym. Uzdrawiał nawet na odległość, jak to miało miejsce w przypadku syna dworzanina z Kafarnaum (J 4,46-50).

— wskrzeszał umarłych udowadniając w ten sposób, że jest panem życia i śmierci. Przywrócił więc do życia córkę Jaira (Mt 9,25), wskrzesił młodzieńca z Naim (Łk 7,12-15) oraz od czterech dni leżącego w grobie Łazarza (J 11,43-44).

Nawiązując do cudów dokonanych przez Zbawiciela, pisze św. Jan pod koniec swej Ewangelii: „Wiele innych cudów uczynił Jezus wobec uczniów, które nie są spisane w tej księdze; te zaś są zapisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystusem, Synem Boga, i abyście wierząc mieli żywot w imieniu jego” (J 20,30-31). Tak więc celem cudów zdziałanych przez Proroka z Nazaretu — jak to wynika z przytoczonych słów Ewangelisty — było udowodnienie, że jest on Bogiem oraz że głoszona przez niego nauka jest boska. Ta wiara jest fundamentem naszego zbawienia.

Pamiętając o tym, z wewnętrzny przekonaniem powtarzajmy w wyznaniu wiary: „Wierzę... w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego”. Prośmy Go również słowami dzisiejszej modlitwy pokomunijnej: „Niech wzrośnie w nas działanie Twojej mocy... aby łaska Twoja przygotowała nas do otrzymania dóbr wiekistych”.

Ks. JAN KUCZEK

Niewiele jest miast na świecie, które by zapisały w historii II wojny światowej tak bohaterską i tragiczną kartę walki z najeźdźcą hitlerowskim. Warszawa w latach minionej wojny to miasto bez przerwy walczące. Dwukrotnie była obszarem działania wojsk regularnych, dwukrotnie terenem powstań zbrojnych, a przez wszystkie lata okupacji miejscem nie ustającego oporu i buntu, ośrodkiem dyspozycyjnym konspiracyjnej i partyzanckiej walki dla całego kraju.

Zanim nastąpiła pamiętna data 17 stycznia 1945 roku — dzień wyzwolenia Warszawy, upłynęło ponad 5 lat tragicznych wydarzeń. Wydarzeń, które sparaliżowały życie ponad milionowej stolicy.

ZANIM PRZYSZŁO WYZWOLENIE

Działania wojenne rozpoczęły się dla Warszawy 1 września 1939 roku, nalotem lotnictwa niemieckiego. Od pierwszego dnia bomby i pociski niemieckie burzyły miasto. Przez cały prawie wrzesień z każdym dniem przybawało w mieście zniszczeń, gruzów i zgłiszcz. Niemcy, z zaciętością rosnącą w miarę przeciągania się oporu obrońców miasta, niszczyli domy mieszkalne, zabudowania przemysłowe i handlowe, gmachy publiczne, szkoły, szpitale, kościoły, budowle zabytkowe, ulice i urządzenia komunikacyjne oraz komunalne. Pod gruzami budynków i w płomieniach ginęli ludzie, niszczał majątek i dobra kulturalne. Ulice zalegały gruz, splątane druty, wraki zniszczonych pojazdów, trupy ludzkie i końskie.

Do akcji ratowniczej wkroczyły organizacje opieki i samopomocy społecznej, by z poświęceniem, ponosząc przy tym krwawe straty, ratować życie ludzkie i mienie, gasić pożary, odkopywać zasypanych, usuwać skutki zniszczeń. Straż Ogniowa, zdekompletowana przez ewakuację, walczyła z rozprzestrzeniającymi się coraz bardziej pożarami (13 września szalało w Warszawie jednocześnie 150 pożarów, 25 września — 200). Od 24 września zabrakło w mieście wody, Straż Ogniowa straciła możliwość skutecznej walki z ogniem. Gdy po kapitulacji obliczono straty, okazało się, że zniszczeniu uległo 122 budynków i majątek ogromnej wartości. W czasie bombardowań i ostrzału artyleryjskiego uległy licznym uszkodzeniom instalacje gazowe w domach i na ulicach. Obawa przed pożarami i zatruciami zmusiła do unieruchomienia od 9 września Gazowni Miejskiej. Sparaliżowana została komunikacja miejska. Zniszczenia taboru, torów i napowietrznej sieci elektrycznej spowodowały już 7 września prawie całkowicie unieruchomienie tramwajów. Uszkodzenia nawierzchni ulic przez leje od bomb i pocisków, zasypianie ich przez gruz zwalonych budynków i zagrodzenie przez barikady, a także ewakuacja, rekwizycje i zniszczenia taboru ograniczały też szybko wszelką komunikację. Podstawowym środkiem lokomocji stały się wów-

czas w Warszawie wozy konne, oraz coraz liczniejsze wózki ręczne, pchane lub ciągnięte przez ludzi. Masy mieszkańców poruszały się po ulicach pieszo, przemierzając miasto najczęściej w poszukiwaniu żywności czy bezpiecznego schronienia.

Znacznie dłużej trwała walka dramatyczna o utrzymanie zaopatrzenia walczącego miasta w wodę i energię elektryczną. Bomby i pociski powodowały uszkodzenia sieci wodociągowej w całym mieście. Uszkodzenia te, wywołujące zakłócenia i ograniczenia w dostawach wody na użytek miasta i jego mieszkańców, były do 23 września ofiarnie i skutecznie naprawiane przez pracowników odpowiednich służb miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Po zbombardowaniu Stacji Filtrów przy ul. Koszykowej, 24 września Warszawa pozbawiona została wody ze studzien artyejskich, głównie dla potrzeb szpitali. Ludność miasta, po szybkim zużyciu niewielkich zapasów, czerpała wodę z Wisły, stawów i nielicznych studni. Była to kropla w morzu potrzeb płonącego miasta, w którym znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy rannych.

Liczne uszkodzenia miejskich instalacji elektrycznych powodowały zakłócenia i przerwy w dostawach energii elektrycznej. Najwcześniej pozbawiona została energia elektrycznej, tak jak i wody, Praga, wskutek zniszczenia na mostach przez Wisłę kabli zasilających. Sama Elektrownia pracowała pod bombami i ogniem artyleryjskim, personel utrzymywał ruch agregatów i dokonywał koniecznych napraw. Wreszcie pociski i bomby zniszczyły 23 września większość urządzeń i Elektrownia stanęła. Miasto zostało pozbawione prądu. Udało się jedynie uruchomić agregaty prądotwórcze i dostarczyć prąd dla urządzeń telefonicznych, niektórych szpitali i obiektów wojskowych. Te zastępcze dostawy zostały bardzo szybko ponownie przerwane wskutek nie dających się już usunąć zniszczeń sieci.

W ostatnich dniach oblężenia, wskutek długotrwałego odcięcia miasta od źródeł zaopatrzenia, rozległych zniszczeń budynków i wszelkich urządzeń komunal-

nych, masowych pożarów, krwawych strat wśród ludności i trwającego bez przerwy terroru ogniowego, funkcjonowanie Warszawy jako organizmu miejskiego zostało prawie całkowicie sparaliżowane.

Od momentu podejścia wojsk niemieckich pod Warszawę nastąpiło częściowe, a z chwilą zamknięcia pierścienia oblężenia — całkowite odcięcie miasta także od bliskich źródeł zaopatrzenia. Tak więc Warszawa zdana była we wrześniu 1939 roku prawie wyłącznie na posiadane zasoby żywności. Jeszcze przed wybuchem wojny władze i prasa zalecały gromadzenie w gospodarstwach domowych kilkutygodniowych zapasów żywności. Wezwania te, jak i spontaniczna przezorność ludzi, spowodowały w Warszawie prawdziwą gorączkę zakupów. Wzmoczone zakupy notowano jeszcze w pierwszych dniach wojny, ale nie powodowało to już, wobec ustania dostaw do miasta, wzrostu ogólnej puli zasobów żywności. Mimo że zasoby żywnościowe w Warszawie były w dniu wybuchu wojny stosunkowo duże, nie wystarczyły jednak do wyżywienia mieszkańców miasta i broniącego go wojska nawet na miesiąc i brak żywności był jedną z głównych przyczyn kapitulacji.

W drugiej połowie września zapasy prywatne zostały w większości zużyte, wskutek czego znaczna część stałych mieszkańców zaczęła głodować. W gorszej jeszcze sytuacji znajdowali się uchodźcy. Coraz więcej sklepów spożywczych ziało pustką. Aby dostać chleb, trzeba było ustawiać się w kolejce o 4 rano, a często stać w niej całą noc. Kiedy zabrakło w Warszawie bydła rzeźnego, niedobór mięsa zaczęto uzupełniać koniną. Na przełomie drugiej i trzeciej dekady konsumpcja koniny była już masowa, każdy zabity na ulicy koń był natychmiast ćwiartowany przez ludność. Nabiał i mąka zniknęły z rynku. Ceny rosły. W piwnicach, schronach i parterowych pomieszczeniach solidnych budynków, w których koncentrowało się życie mieszkańców miasta, coraz częściej powstawały wspólne kuchnie, w których przy-



rzadzano prymitywne posiłki ze składkowych resztek żywności.

Ciężkie warunki bytowania ludności w oblężonym mieście, a szczególnie trudności w zaopatrzeniu w wodę groziły wybuchem epidemii. W trzeciej dekadzie września zaczęła wzrastać liczba zachorowań na dur brzuszny, stwierdzono też kilka przypadków zachorowań na dur plamisty, ale mimo trudnej sytuacji sanitarnej udało się zapobiec epidemii.

Bombardowania i ostrzał zmieniły tryb życia w domach warszawskich. Początkowo opuszczano mieszkania i chroniono się do piwnic czy schronów tylko na czas nalotów. Później, kiedy niewiele już było przerw w lotniczych atakach na miasto, coraz więcej mieszkańców przenosiło



dokończenie na s. 4



się na stale do bezpieczniejszych piwnic. W ostatnich dniach września większość ludności żyła w piwnicach i schronach. Panował w nich ścisk i anty-sanitarne warunki. Ludzie spali, nie rozbierając się, obok tobołków z najcenniejszymi i najniezbędniejszymi rzeczami. Nastroje w schronach były fatalne, łatwo dochodziło do paniki.

Wydarzenia wojenne powodowały, że dzieci traciły rodziców lub gubiły się w chaosie ewakuacyjnym i w czasie nalotów. W początkach trzeciej dekady zarejestrowano w Warszawie ok. tysiąca dzieci pozbawionych rodziców lub opiekunów. Ich losem zajęła się opieka społeczna i osoby prywatne. Prasa warszawska wzywała do organizowania wspólnej opieki nad dziećmi.

Niecałe 5 lat po wrześniowej tragedii Warszawy nastąpiła kolejna, jeszcze straszliwsza w skutkach — powstanie warszawskie. Znowu bomby i pociski niemieckie burzyły domy, znowu szalały pożary, cierpieli i ginęli ludzie, niszczyli dobra materialne i kulturalne. Na powstaniowych losach ludności Warszawy tragicznie odbiły się mordy, gwałty i rabunki, masowo dokonywane przez oddziały hitlerowskie, oraz wysiedlenie całego miasta. Po kapitulacji powstania Niemcy przystąpili do systematycznego burzenia, palenia i rabowania Warszawy.

Straż Ogniowa, ekipy pracowników Elektrowni, wodociągów i kanalizacji z wielkim poświęceniem walczyły z pożarami, ratowały zasypanych gruzami ludzi, starały się dostarczyć miastu i jego ludności energię elektryczną i wodę. Życie Warszawy jako organizmu miejskiego zostało jednak sparaliżowane szybciej i silniej niż to miało miejsce we wrześniu, osłabionemu okupacją miastu zabrakło już tej odporności, jaką wykazało przed pięcioma laty. Inna rzecz, że dysproporcja sił w czasie powstania była znacznie większa, a poszczególne dzielnice walczyły w odosobnieniu.

Powstanie zburzyło stan okupacyjnej stabilizacji w życiu mieszkańców Warszawy. Była to stabilizacja bardzo specyficzna, bo jej elementami były m. in. stałe zagrożenie życia i wolności osobistej, niepewność jutra, terror i kompleks okupacyjnych ograniczeń, pogarszające się poło-

żenie ekonomiczne: powszechny wzrost cen, zły i coraz gorsze odżywianie się polskiej ludności miasta, coraz ostrzejszy brak odzieży oraz pogarszający się stan zdrowotny. Z drugiej strony była to jednak stabilizacja, bo ludzie mieszkali w swoich mieszkaniach, pracowali, handlowali, poruszali się po mieście, zakłady przemysłowe i warsztaty rzemieślnicze produkowały, funkcjonował legalny i nielegalny handel oraz system urzędowego zaopatrzenia, czynne były lokale, funkcjonowała komunikacja miejska, łączność i urządzenia komunalne, opieka społeczna pomagała najbiedniejszym. Toczyło się codzienne, okupacyjne życie, latem 1944 roku już trochę łatwiejsze do zniesienia, bo klęska hitlerowskich Niemiec i koniec wojny przybliżyły się z każdym dniem.

Najpoważniejszy wpływ wywarło powstanie na sytuację wyżywieniową Warszawy. Linia frontu i niemiecki kordon wokół miasta odcięły je od normalnych, legalnych i nielegalnych dostaw żywności. Do wyżywienia ludności cywilnej i walczących oddziałów musiały wystarczyć zapasy artykułów żywnościowych znajdujące się w mieście w dniu wybuchu powstania. Wobec zbliżającego się przejścia frontu mieszkańcy Warszawy starali się robić zapasy żywności dla przetrwania kryzysowego okresu. W zasobniejszych gospodarstwach domowych zapasy te były większe, w biedniejszych — niewielkie. Tych ostatnich było jednak w piątym roku wojny znacznie więcej i przeciętna musiała być bardzo niska. Zapasy żywności w handlu były również niewielkie. System kartkowego zaopatrzenia ludności w żywność załamał się całkowicie natychmiast po wybuchu powstania. W pierwszych dniach sierpnia niektórzy właściciele sklepów prowadzili sprzedaż żywności po niewygórowanych cenach, nie było to jednak zjawisko powszechne. Z czasem ceny zaczęły rosnąć, a sprzedaż żywności w sklepach zamierać.

Oprócz braku żywności bardzo dotkliwie dawał się we znaki brak wody. W połowie sierpnia Niemcy unieruchomili wodociągi i odciął zaopatrzenie Warszawy w wodę oparte było na nielicznych, dawniej istniejących, oraz zbudowanych podczas powstania studniach. Wody brakowało nawet dla celów spożywczych i stawała się ona niekiedy przedmiotem spekulacji.

Wybuch powstania zastał wielu mieszkańców Warszawy z dala od ich mieszkań i rodzin. Nie wszystkim z nich udało się dotrzeć do domów. Wieści o bestialstwach wobec ludności cywilnej ze strony oddziałów niemieckich, o wymordowaniu przez nich kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Woli i Ochoty, o masowych gwałtach i rabunkach, powodowały ucieczkę ludności z dzielnic zagrożonych zajęciem przez Niemców do dzielnic opanowanych przez powstańców. Fala uciekinierów ruszyła już w pierwszych dniach powstania. Mieszkańcy zburzonych i spalonych domów, jeśli zdołali uciec z życiem, tracili dach nad głową i cały dobytek. Położenie uciekinierów i pogorzalców było znacznie gorsze niż położenie tych mieszkańców miasta, którzy jeszcze pozostawali we własnych mieszkaniach. Tylko niektórzy z nich uratowali trochę odzieży i żywności, wszyscy stali się bezdomni.

Uciekinierzy i pogorzalcy koczowali w bramach domów, w schronach i piwnicach, na kłatkach schodowych i na podwórkach. Zdani całkowicie na pomoc i samopomoc społeczną, wstrząśnięci swoimi strasznymi przeżyciami i ciężkim losem, załamani psychicznie i bierni, bali się opuszczać schrony i uchylali się od pracy, nawet mającej na celu poprawę ich własnego położenia.

Z czasem, w miarę pogarszania się ogólnej sytuacji żywnościowej, zwłaszcza w wyniku wyczer-

pania prywatnych zapasów żywności, a także w miarę wzrostu liczby zniszczonych budynków oraz coraz liczniejszych przypadków opuszczania mieszkań i przenoszenia się ich mieszkańców do schronów i piwnic, różnice w położeniu uciekinierów i pogorzalców oraz pozostałych mieszkańców miasta zaczęły się zacieśniać. Prawie wszyscy jednakowo głodowali i jednakowo koczowali w piwnicach i schronach, w łoku, ciemnościach i w brudzie.

Okres wojennych wydarzeń w Warszawie był bardzo burzliwy. Otworzyło go oblężenie miasta, a zamknęło powstanie warszawskie. W czasie ich trwania ludność miasta poniosła olbrzymie straty i doznała ogromnych cierpień, nadto wstrząsnęły one podstawami materialnej egzystencji mieszkańców stolicy. Rozdzielało te wydarzenia prawie 5 lat hitlerowskiej okupacji, wypełnionych niespotykanym ograniczeniem wolności i zagrożeniem bezpieczeństwa, brutalnym policyjnym terrorem, aresztowaniami, deportacjami i egzekucjami, wypełnionych też walką przeciw hitlerowskiemu okupantom. Były to dla mieszkańców Warszawy także lata niesłychanie złego położenia ekonomicznego, niedostatku środków do życia, złego odżywiania, braku odzieży i obuwia, złych warunków mieszkaniowych, obniżającego się stanu zdrowotności, szczególnie ciężkich warunków wychowania dzieci i młodzieży, lata trudnej walki o codzienny byt.

EWA STOMAL





*Ej! Gadajta, co chcecie,
Komu obce ciekawe —
Nie ma miasta na świecie
Nad tę naszą Warszawę!
Może tam gdzie i lepiej
Człowiek podje, napije,
Ale gdzie tak pierś skrzepi,
gdzie tak serce zabije,
Gdzie tak dusza coś powie,
Gdzie tak snują się myśle,
Takie echo gdzie złowi,
Jako u nas, przy Wiśle?*

(A. Lange: O Warszawie)

*Miasto kochane, piękne,
rośniesz,
twoje kontury, prawie że miękkie,
wiosną uwiośnisz.*

*po to,
ażeby było
pięknie
ponad naszą robotą.*

*Jak wiele trudu, miasto kochane,
trzeba,
żeby zalepić każdą twą ranę
kawalkiem chleba*

*Warczą warsztaty, dymią kominy,
płynie Wisła...
Nasza Warszawa! Nasze czyny!
My potrafimy zmartwychwstać!*

od ust odjętym chętnie, o! chętnie

(W. BRONIEWSKI)

*Dziś Warszawa ciągle wzrasta,
Jest w niej ruch i szum,
Przez ulice tego miasta
Wielki płynie tłum.
Tutaj złotem, szykiem, sławą
Głupstwo można kryć —
Hej, Warszawo, hej, Warszawo!
W tobie słodko żyć.*

(F. Szober:

Podróż po Warszawie)

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA ^[807]

w opracowaniu bpa M. RODEGO

P (rzeczy, zjawiska itp.) — to innymi słowami niematerialny obraz, jaki rodzi się w świadomości człowieka wskutek poznawanych bytów jednostkowych, istniejących lub dziejących się poza ludzkim umysłem) wyróżnia się jeszcze pojęcia ogólne, czyli — uniwersalia albo powszechniki; nadto zamiast obraz można powiedzieć — odbicie).

Pozytywizm — (od łac. positivus = oparty, uzasadniony, udokumentowany) — to nazwa kierunku filozoficznego i sam kierunek filozoficzny, który za swoje główne twierdzenie przyjmuje, iż przedmiot badań naukowych stanowią jedynie fakty, fakty mogące być sprowadzone na warsztat obserwacji i doświadczenia badacza, naukowca. Doszukiwanie się zaś niewidzialnych przyczyn sprawczych, a również szukanie rzekomo ukrytej za faktami celowości, jest działaniem nie naukowym, jest metafizyką, która nie jest nauką, i działanie takie jest po prostu działaniem bezsensownym. Stąd też pozytywizm zagadnienie istnienia Boga wyklucza ze sfery dociekań i formułowań naukowych, zaliczając je albo do → agnostycyzmu, albo wyraźnie opowiada się przeciw możliwości istnienia i działania Boga jako wiecznie istniejącej i działającej Przyczyny Pierwszej.

Pozytywizm ma jak gdyby trzy formy, trzy wydania, trzy ujęcia. Jego autorem, albo inicjatorem pozytywistycznego myślenia i takiegoż ujmowania sformułowań naukowych był filozof francuski, autor również → socjologii, — August Comte (ur. 1798, zm. 1857); główne swoje tezy pozytywistyczne wyłożył w dziele pt. Cours de philosophie positive, sześć tomów, czyli po polsku: Wykłady filozofii pozytywnej lub pozytywistycznej); autorami drugiego, nieco zmienionego i odnowionego pozytywizmu Comte'a i jego poprzedników, np. P.S. Laplace'a i D. Hume'a, byli, równocześnie twórcy → empiriokrytycyzmu: R. Avenarius (ur. 1843, zm. 1896) i E. Mach (ur. 1838, zm. 1916);

od początku zaś XX w. i współcześnie mówi się o trzecim wydaniu pozytywizmu w formie neopozytywizmu, za którego początek formalny uważa się powstałe w 1923 roku we Wiedniu koło filozofów, tzw. Wiener Kreis, albo Koło Wiedeńskie, a z tego grona filozofów wyliczyć należy m.in. przede wszystkim takich uczonych, jak: Moritz Schlick (ur. 1882, zm. 1936), Rudolf Carnap (ur. 1891), Otto Neurath (ur. 1882, zm. 1951), Ludwik Wittgenstein (nr. 1889, zm. 1951) i szereg współcześnie dalej działających.

Filozofowie Koła Wiedeńskiego, głosiciele neopozytywizmu, wchodzących również w zakres teologii, usiłowali i usiłują realizować mniej więcej następujący program. Rozwijają i prowadzić konsekwentną i nieubłaganą walkę z wszelką metafizyką, konsekwentnie a jak najbardziej ściśle logiczne głoszenie postulatów empiryzmu i fizykalizmu (bo jedynie obiektywną podstawą poznania i wiedzy jest tylko i wyłącznie doświadczenie), jak najściślej powiązanie, bodaj uzależnienie filozofii od osiągnięć współczesnej logiki matematycznej, przy czym filozofie ograniczyli i ograniczają do analizy języka nauki, tj. do analizy zobiektywizowanego poznania. I trzeba stwierdzić, że Koło Wiedeńskie nie głosiło jakiegoś nowego programu, ale zwalczając wszelką metafizykę, a więc i teologię i ono i w ogóle neopozytywiści wytworzyli własną, być może głównie ze względu na bardzo mocne akcentowanie logiki jasnego i jednoznacznego formułowania pojęć i wyrazów, a więc ze względu na sprowadzenie filozofii do analizy języka nauki — miało jednak to Koło a limine dość dużo zwolenników: wpraw w Austrii i w Niemczech, potem również w Anglii, wreszcie w Ameryce. Istniały też dość żywe kontakty między Kołem Wiedeńskim a Szkołą Lwowsko-Warszawską, do której należeli filozofowie i logicy z K. Twardowskim i jego uczniami: J. Łukszewiczem, T. Kotarbińskim, K. Aj-

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

WIARA

Wiara to bardzo frapujący temat. W ciągu tysiącleci budziła u ludzi entuzjazm i burze namiętności, rodziła pokój i wywoływała wojny. Tak jest do dziś. W naszych gawędach patrzymy na wiarę jako na cnotę. Nie zajmujemy się wykładem jej prawd, zwanych czasem dogmatami, lecz postawami ludzi. Wiara bowiem jako cnota tkwi w człowieku, a nie w księgach. Niemniej jednak stale pełną garścią czerpiemy materiał ze złożeń prawd wiary, bo przecież prezentujemy zagadnienia teologii moralnej, a nie obserwacje świeckiego myśliciela. Nie było, nie ma i nie będzie chyba na świecie człowieka, który nie miałby ani szczyty wiary. Wszyscy ludzie muszą w coś i komuś wierzyć. To jest naturalna konieczność i naturalna cnota. W oparciu o tą naturalną skłonność i szereg innych cnót, Bóg wybranym swoim daje łaskę wiary nadprzyrodzonej, należącej do grona cnót boskich. Dziś określimy, czym jest naturalna, czyli ludzka cnota wiary i czym jest wiara boska jako cnota.

Wiara naturalna jest to uzna-

wanie za prawdę tego, co nam mówią inni ludzie. Przedmiotem wiary ludzkiej jest prawda. Do prawdy prowadzą trzy drogi: doświadczenie, rozumowanie i wiara. Prawda stwierdzona zmysłami nazywa się doświadczeniem. To słynne „szkiełko i oko”. Prawda udowodniona rozumem nazywa się wiedzą. Ale to, co przez życie możemy sami własnymi zmysłami zbadać lub udowodnić rozumem — to zaledwie kropla w morzu prawdy. Olbrzymia większość prawd — które znamy i poznamy, opiera i opierać się będzie na cnotcie wiary ludzkiej i nie tylko ludzkiej. Weźmy dla przykładu geografię. Czy ktoś znajdzie tyle czasu i pieniędzy, by sprawdzić osobiście to wszystko, co napisali o lądach i oceanach, o górach i dolinach, o rzekach, krajach, miastach itd. A liczni badacze i podróżnicy? Musimy im wierzyć! Są dziedziny, których w żaden sposób nie można sprawdzić i rzadko bywają kwestionowane. Ot choćby historia. Czy możemy osobiście stanąć na dworze któregośkolwiek faraona, czy porozmawiać z naszym pierwszym historycznym władcą? Niestety nie! Musimy wierzyć temu, co napisali kronikarze. Jest więc wiara naturalną cnotą wszystkich ludzi, aczkolwiek w różnym stopniu. Dzięki niej wierzy dziecko swemu ojcu, uczeń nauczycielowi, student profesorowi, czytelnik autorowi. Czasami bywają pomyłki, bo człowiek jest istotą omylną i nie zawsze dobrą. Czasem nieświadomie, ale czasami świadomie może drugich wprowadzić w błąd.

Jest jednak ktoś, kto ani sam się nie myli, ani drugich w błąd wprowadzić nie może. To Bóg — Twórca naszej natury i dawca wyższej formy cnoty wiary — wiary teologicznej.

Co to jest wiara teologiczna?

Wiara teologiczna jest to cnota nadprzyrodzona dana nam przez Boga, dzięki której uznajemy za prawdę to wszystko, co Pan Bóg objawił, a Kościół chrześcijański do wierzenia podaje. Cnota ta skłania serca i rozum do przyjmowania prawd religijnych nie z tego powodu, że możemy je sprawdzić czy też nie, lecz dla powagi mówiącego Boga. Dzięki niej rozum z wdzięcznością chłonie prawdy objawione, szczególnie te, których nigdy nie poznalibyśmy własnym dociekaniem, gdyby nie objawienie. Klasycznym przykładem jest tajemnica Trójcy Przenajświętszej, czy obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie.

Niektórzy mówią tak: „Wierzyłbym, ale skąd mogę być pewnym, że Bóg dał swoje objawienie?” Mówi nam o tym w pierwszym rzędzie cały otczający nas świat, zwłaszcza żywy, głoszący swym istnieniem otrzymanym od Stwórcy chwałę Bożą. Mówi nam nasz rozum i serce, bo skoro Bóg nas powołał do świadomego bytu, to chyba między innymi po to, by z nami rozmawiać! Mowę Boga do ludzi zawiera specjalna Księga, zwana Pismem świętym. Z tej właśnie Księgi dowiadujemy się, że Bóg wielokrotnie przemawiał do ludzi. Zaszczęcał odwiedzina- mi pierwszych rodziców w raju, mówił z patriarchami, Mojżeszem i narodem wybranym z Góry Synaj. Potem przemawiał przez proroków.

Najwięcej jednak prawd świę-

tych przekazał ludzkości przez swojego Syna — Jezusa Chrystusa. Niepodważalną prawdę o objawieniu stwierdza apostoł Paweł w Liście do Żydów: „Po rozlicznych i przeróżnych sposobach jakimi niegdyś przemawiał Bóg do Ojców przez proroków — pod koniec w tych czasach przemówił do nas przez Syna” Zbawiciel swoją nauką, jej prawdziwość i świętość potwierdził cudami i przekazał Kościołowi, który prawdy wiary zachowuje, strzeże, głosi i wyjaśnia przez biskupów i kapłanów, którym przyobiegał swoją obecność w Kościele tak długo, jak długo będzie istniał na ziemi: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody... a oto ja pozostanę z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Wszystkie potrzebne do zbawienia prawdy już są objawione i zawarte w Biblii oraz w tradycji apostoelskiej. Nie oznacza to jednak, że Ojciec niebieski przestał przemawiać bezpośrednio sam do naszych serc, jak Ojciec do dzieci. Przemawia właśnie dzięki danej nam cnotcie wiary. Jeśli wiarą uciszymy w duszy zgłęb, szum i gwar wątpliwości oraz pokus, głos Ojca niebieskiego usłyszymy wyraźnie. Zapewnia nas o tym nasz Wieszczy, Adam Mickiewicz: „Głośniejszy niżli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy, i kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszysz”.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (808)

dukiewiczem, T. Czeżowskim, Z. Zawirskim i in. Charakterystycznymi przymiotami tej szkoły lwowsko-warszawskiej były: postawa antyirrationalistyczna; usiłowanie stosowania i faktycznego stosowania jak najdokładniejszej i jak najbardziej jednoznacznej precyzji w myśleniu i w wyrażaniu swoich myśli; logiczna poprawność argumentacji w rozwiązywaniu wszelkich problemów filozoficznych, wreszcie, co już częściowo wyrażono wyżej, twierdząc, iż używa się języka wieloznacznego i niezrozumiałego, propagowali i propagują członkowie tej szkoły, szkoły antyteologicznej, konieczność i jedyność używania języka jasnego i ścisłego i tym czy takim stanowiskiem Szkoła Lwowsko-Warszawska była właśnie również pokrewna Kołu Wiedeńskiemu i neopozytywizmowi.

Pożarski Andrzej — (ur. 1685, zm. 1744) — polski jezuita, ks., prof. filozofii i teologii, autor m.in. pracy pt. *Tractatus de poenitentia... De Deo Uno et Trino* (1727—28; rękopis), czyli *Traktat o sakramencie Pokuty... O Bogu Jednym w Trzech Osobach*.

Pożądanie — to chęć, czyli funkcja przede wszystkim woli i jej pożądawczych władz zdobycia dobra, wartości, czegoś, co jeszcze nie jest własnością czy udziałem człowieka, a co człowiek bardzo pragnie zdobyć, osiągnąć, mieć w czymś udział. **Pożądanie** to może być etycznie pozytywne i odpowiednio systematyzowane, uporządkowane, albo etycznie negatywne i wtedy staje się, czy przedziera się w → **pożądliwość**.

Pożądliwość — to w słownictwie teologicznym chęć, czy pragnienie, względnie już funkcja tzw. niższych zmysłowych władz pożądawczych woli, działających przeciw wladom woli, chcącym działać zgodnie z racjami rozumu i odnośnymi nakazami wiary, religii, jest to więc w takich

przypadkach działanie grzeszne, a stopień jego zależy od jakości i ilości materii oraz intensywności tej pożądliwcaei, którą też nazwać można grzeszną namiętnością (→ grzech; → pokusa).

Praca — jest to najbardziej naturalne działanie człowieka. Układ mięśni człowieka, jak i jego życie duchowe, domaga się ciągłego ruchu. Mięśnie organizmu ludzkiego domagają się ruchu, duch ludzki — działania. Ruch zaś właśnie, działanie — to w najogólniejszym ujęciu praca, praca jako pokonywanie oporu, trudności, jako dokonywanie zmian ale i jako jednocześnie działanie naturalne i w zasadzie obowiązujące człowieka. Pracą bowiem, działaniem z nakazu prawa naturalnego i z woli Stwórcy ludzie w zasadzie (wyłączone są bowiem z tego nakazu dzieci, chorzy, inwalidzi, emeryci, starcy) zdobywają środki dla swego utrzymania. Przetó też praca jako funkcja naturalna człowieka jest wartością, właśnie funkcją, czynnością twórczą, jest efektem działania mechanizmu człowieka, mechanizmu który człowiek może doskonalić, ale może go też psuć, bo jest istotą wolną. W pierwszym ujęciu z pracy takiej i tak pojętej i tak wykonywanej płynie jej dostojeństwo, w drugim zaś wypadku człowiek winien jest występku wobec natury i przeciw niej, a zatem również wobec Boga i przeciw Bogu. A przeto przyczyną pracy jest człowiek, który jest jednocześnie jej podmiotem. Praca więc, którą wykonuje człowiek, jest funkcją jego osobowości, wpływa nie tylko z jego części fizycznej, z siły rąk na przykład, w niej uczestniczy również w większym lub mniejszym stopniu, ale faktycznie, duch ludzki. Słowem — praca jest owocem całej osoby ludzkiej, całego człowieka i jako kobiety i jako mężczyzny. Praca — powtórzmy — przedstawia więc wielkie dostojeństwo, praca pozytywna, a na owoc takiej pracy patrzeć trzeba nie jako na towar wytworzony działaniem podobnym do działania mechanizmu maszyny,

NOWY INSTYTUT EKUMENICZNY

W Waszyngtonie utworzono Instytut Ekumeniczny, który w najbliższych dwóch latach zajmie się m.in. zorganizowaniem szeregu konsultacji mających na celu dokonanie oceny VI Zgromadzenia Ogólnego Światowej Rady Kościołów w Vancouver oraz wskazaniem możliwości wcielenia w życie przez Kościoły wyników dialogów dwustronnych. Instytut zamierza też zorganizować konferencje dla uczonych, profesorów i przywódców kościelnych. Dyrektorem nowego Instytutu został były referent ds. ekumenizmu Światowej Federacji Luteranckiej, dr Daniel Martensen, a przewodniczącą kuratorium rzymskokatolicką Kathellen Bell, która przez wiele lat pracowała w ministerstwie spraw zagranicznych. Martensen objaśnił, że Instytut pragnie pomóc chrześcijanom północnoamerykańskim „budować dalej wspólnie na fundamentach, które od dwudziestu lat kładzie współczesny ruch ekumeniczny”.

DOKUMENTY Z LIMY

Dyrektor Wydziału „Wiara i Ustrój” Światowej Rady Kościołów, William H. Lazareth, określił tzw. dokumenty z Limy, przyjęte na posiedzeniu Komisji w Peru w 1982 r., jako wielkie wydarzenie w historii ruchu ekumenicznego. Dokumenty te opracowane wspólnie z teologami rzymskokatolickimi, zawierają uzgodnienia Kościołów w najbardziej spornych punktach, które dotychczas uchodziły za główną przeszkodę na drodze do jedności. Ich ideą jest zniesienie istniejącego od XVI w. rozłamu doktrynalnego Kościołów w pojmowaniu Chrztu, Eucharystii i urzędu kościelnego. Dyskusję na ten temat prowadzono od 1927 r., tj. od I Konferencji Światowej do spraw Wiary i Ustroju Kościoła w Lozannie. W 1987 odbędzie się kolejna konferencja światowa tego typu. Zdaniem Lazaretha, jeśli konferencja ta przyjmie ostateczną wersję tych dokumentów, będzie możliwe wyjście „ze ślepego zaułka rozłamów kościelnych”.

WSPÓLPRACA WYDAWCÓW BIBLIJ

Chcąc spełnić życzenie wielu niewidomych ludzi w Trzecim Świecie, którzy pragną czytać Biblię alfabetem Braille'a, konieczna jest ściślejsza współpraca wydawców Biblii dla niewidomych. 50 ekspertów z 17 krajów doszło do takiego wniosku podczas pierwszego międzynarodowego kongresu w sprawie produkcji Biblii dla niewidomych, który odbył się w Darmstadzie (RFN) na zaproszenie Światowego Związku Towarzystw Biblijnych. Dotychczas katolicy, ewangelicy i prawosławni wydawcy Biblii dla niewidomych pracowali niezależnie od siebie.

Biblia lub jej fragmenty są przetłumaczone na 1763 języki i dialekty, podczas gdy w alfabecie Braille'a dostępna jest jedynie w 61 językach. Liczba niewidomych na świecie oceniana jest na 42 miliony, większość z nich żyje w krajach ubogich.

ZMIANY PERSONALNE W SRK

W centrali Światowej Rady Kościołów w Genewie dokonują się poważne zmiany personalne. 1 września ub.r. opuścił Genewę dr Konrad Reiser, jeden z trzech zastępców sekretarza generalnego, aby podjąć profesurę z zakresu zagadnień ekumenicznych. Funkcję nowego dyrektora Wydziału Wiara i Ustrój Kościoła obejmie teolog zachodnoniemiecki Gunther Gassmann (w miejscu luteranina Williama Lazaretha z USA), Wydziału Misji i Ewangelizacji — Eugene Stockwell z USA (w miejsce metodysty Emilio Castro z Urugwaju), Wydziału ds. Kościoła i Społeczeństwa — Anglik Dawid Gosling (w miejsce Paula Abrechta z USA).

OBRADY PREZYDIUM PRE

W Warszawie obradowało niedawno Prezydium Polskiej Rady Ekumenicznej. Głównym tematem obrad były sprawy związane z oceną rezultatów obrad VI Zgromadzenia Ogólnego Światowej Rady Kościołów w Vancouver. Referat wprowadzający wygłosił bp Jeremiasz z Kościoła prawosławnego. Podjęto uchwałę o zorganizowaniu przez Polską Radę Ekumeniczną i Chrześcijańską Akademię Teologiczną wspólnej sesji naukowej poświęconej Zgromadzeniu w Vancouver. Prezydium PRE wybrało też nowego przewodniczącego Polskiego Oddziału Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej, którym został ks. prof. dr Witold Benedyktowicz (Kościół metodystyczny), honorowy prezes PRE. Powołano też nowych przewodniczących komisji Rady.

SYMPOZJUM POLSKO-SZWAJCARSKIE

Na zaproszenie Komisji Charytatywnej polskiego Episkopatu przy współudziale Polskiej Rady Ekumenicznej, w Łaskach k. Warszawy odbyło się niedawno sympozjum polsko-szwajcarskie. Wzięła w nim udział 12-osobowa grupa przedstawicieli środowisk ewangelickich i katolickich Szwajcarii, reprezentanci Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce oraz 5-osobowa delegacja Kościołów członkowskich Polskiej Rady Ekumenicznej. Główny temat obrad brzmiał „Etyczne aspekty pomocy humanitarnej”. Kontynuowano dyskusję zapoczątkowaną na poprzednim sympozjum, które odbyło się w grudniu 1982 r. w Zurychu. Obecne sympozjum było trzecim z kolei. Ustalono, że następne odbędzie się w 1985 r.



Ołtarz główny w kościele starokatolickim w Olten



Ołtarz główny w kościele starokatolickim w Zurychu

WASZYNGTON



Główny ołtarz w kościele parafialnym
w Ostrowcu Św.



Fragment procesji



Obraz Najświętszej Marii Panny
— Matki Miłosierdzia

Złoty jubileusz parafii NMP — Matki Miłosierdzia w Ostrowcu Świętokrzyskim

W roku 1983 parafia pw. NMP Matki Miłosierdzia w Ostrowcu Świętokrzyskim obchodziła 50 rocznicę swego istnienia. Została zorganizowana 20.VII.1933 r. Jest to wielkie święto dla tych, którzy idąc za przykładem pierwszych parafii polskokatolickich przyczyniali się do organizowania placówek Kościoła Polskokatolickiego na Kielecczyźnie.

W sąsiedztwie zostały zorganizowane parafie: w Lipsku, Tarłowie, Okole, Stodolach i Podgórzu Boryjskim.

Uroczystości jubileuszowe połączone zostały z dorocznym świętem patronalnym ostrowieckiej parafii. W dniu 10.IX.1983 r. o godz. 18.00 rozpoczęto uroczystości jubileuszowe półwiecza parafii ostrowieckiej, uroczystymi nieszporami o Najświętszej Maryi Pannie, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Miejscowy duszpasterz, ks. proboszcz Piotr Strojny, dokonał poświęcenia obrazu Najświętszej Maryi Panny — Matki Miłosierdzia. Obraz ufundowano ze składek sióstr z Towarzystwa Adoracji, jako wotum wdzięczności dla Matki Najświętszej za 50 lat patronowania i opieki nad tutejszą parafią. Ks. proboszcz poinformował zebranych na nabożeństwie, że obraz ten, po zakończeniu obchodów jubileuszowych, zawieszony zostanie w głównym ołtarzu tutejszej świątyni.

Główne uroczystości odbyły się w niedzielę, 11.IX.1983 r. o godzinie 11. Przybył na nie administrator diecezji krakowskiej, ks. inf. Antoni Pietrzyk wraz z ks. kanclerzem Czesławem Siepietowskim.

W uroczystości udział wzięli również proboszczowie sąsiednich parafii: ks. Zbigniew Bonkowski ze Swieciechowa, ks. Władysław Bachorski z Radomia i ks. Hubert Szryt z Okola.

Uroczystą sumę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu wspólnie z ks. inf. Antonim Pietrzykiem koncelebrowali: ks. Władysław Bachorski i Ks. Hubert Szryt. Okolicznościową homilię wygłosił ks. Zbigniew Bonkowski.

Po zakończeniu uroczystej Mszy św. wyruszyła procesja wokół kościoła do ołtarza polowego. Siostry z Towarzystwa Adoracji niosły obraz Matki Miłosierdzia. Przy ołtarzu polowym odmówiono Litanię do Najświętszej Maryi Panny i odśpiewano antyfonę: „Pod Twoją obronę...”. Okolicznościowe kazanie wygłosił ks. inf. Antoni Pietrzyk.

Po kazaniu, z pieśnią Maryjną na ustach, procesja wkroczyła do kościoła. Odśpiewano hymn „Ciebie, Boże, sławimy”, przewodniczący procesji, ks. Kanclerz Czesław Siepietowski, pobłogosławił wszystkich zebranych Najświętszym Sakramentem.

Ks. Infułat, składając życzenia ks. proboszczowi i wiernym tej parafii, powiedział między innymi, że Kościół Polskokatolicki miał wielkie trudności na początku swego istnienia. Trudno uwierzyć, że ta parafia, licząca w tym okresie (1934 r.) 350 osób, mogła się utrzymać i przetrwać wszelkie ataki nieprzyjaciół. A jednak przetrwała i zwyciężyła. Dlaczego? — Bo tak chciał Bóg i Matka Najświętsza. Parafianie w Ostrowcu Świętokrzyskim zaufali też swemu Duszpasterzowi, który z całym zapałem i poświęceniem bronił prawdy Chrystusowej Ewangelii. Dziś parafia w Ostrowcu przedstawia piękną, dobrze zorganizowaną placówkę duszpasterską naszego umiłowanego Kościoła Polskokatolickiego.

W chwili obecnej proboszczem parafii ostrowieckiej jest, od

1975 r., ks. Piotr Strojny. W ostatnich dziewięciu latach Rada Parafialna i wierni na czele z ks. proboszczem, włożyli bardzo dużo pracy nad upiększeniem i powiększeniem majątku parafialnego oraz pogłębieniem życia duchowego.

Przy parafii istnieją i skutecznie działają następujące Towarzystwa: Koło Adoracji i Koło Różańcowe, liczące 45 sióstr. Wiernym parafii NMP — Matki Miłosierdzia należą się słowa uznania za ich gorliwą, owocną i nieustanną służbę dla Kościoła Polskokatolickiego. Kontynuują dzielnie sprawę, którą w spuściźnie otrzymali od rodziców, organizatorów tutejszej parafii. Wyrazy uznania i szacunku należą się: Zygmuntowi Zaczkowi, Stanisławie Suleżyckiej, Marianowi Kwiatkowskiemu, Marianowi Witkowskiemu, którzy od 1933 roku służą parafii. Uznanie należy się również dla młodszych parafian, Towarzystwa Adoracji, Radzie Parafialnej oraz tym wszystkim, którzy dla sprawy Bożej i narodowej, nie szczędząc czasu ni pracy, pragną rozbudować wielkie dzieło opatrnościowe Bpa Franciszka Hodura — Kościoła Polskokatolickiego, którego żywą częścią jest parafia w Ostrowcu.

Na zakończenie uroczystości, miejscowy duszpasterz, ks. prob. Piotr Strojny w krótkich, lecz z głębi serca płynących słowach, podziękował wszystkim za wzięcie udziału w uroczystościach 50-lecia parafii. Uroczystości jubileuszowe zakończyło wspólne odśpiewanie hymnu „Tyle lat my Ci, o Panie...”

ZOFIA KWIATKOWSKA

JÓZEFA PRONOBIS



Wierni zgromadzeni w czasie nabożeństwa



Fragment procesji



Przemówienie administratora diecezji krakowskiej
— ks. Antoniego Pietrzyka

Poślizg



Coraz bardziej należy uważać na drogach. Uważać na wszystko. Widzieć znaki, częściowo nowe, pieszych, którzy nie wiadomo czego szukają, inne pojazdy, częściowo, najczęściej widoczne, nie zawsze trzeźwych woźniców, którzy w miarę mechanizacji nawet przybywa, jako że koń z woła roboczego zamienił się w siłę transportową. Na drogach trzeba uważać coraz bardziej. Po wprowadzeniu nowego kodeksu drogowego uwagę należy zwielokrotnić. Przybyło trochę nowości, nowych zasad, znaków. Większość kierowców i użytkowników dróg nie bardzo się tym przejmuje wierząc, że jakoś da sobie ze wszystkim radę. Wiadomo, że mamy najlepszych kierowców na świecie. Przynajmniej takie mniemanie mają o sobie Polacy. Stąd taki pęd do kierowania, niekoniecznie zaraz samochodem. Polacy lubią sobie pokierować i robią z tego życiowe hobby „Kierować to my, a nie nas” — takie zawołanie wielu z nas uznaje za drogowskaz i swoje powołanie. Niektórym udaje się je nawet zrealizować. O skutkach nie ma co myśleć, chociaż nie należy od razu machać na to ręką, przeciwnie, należy za nich się modlić. Kierowców z roku na rok przybywa, niebezpieczeństwo więc narasta. Rzeczą chrześcijanina jest również bezpieczeństwo na drogach publicznych, które dla wielu są drogami żywymi i bez wyraźnego powodu czynią z nich drogi do wieczności.

Na drogach bywa różnie. Zwłaszcza zimą. Śnieg, mgła, zadymka, nierozkład zawierucha, zlodowacenie nawierzchni — jak to zimą. Łatwo wypaść z trasy. Cel jazdy w takich warunkach oddala się zamiast przybliżać, bywa że na stałe. Trzeba wtedy zachować szczególną ostrożność, której nigdy nie za wiele. Na drogach obowiązują bowiem nie tylko nakazy i zakazy, ale przede wszystkim rozsądek. Podobnie jak z ostrożnością, tego też nigdy nie za wiele. Co prawda jeden z filozofów odkrył, że najrowniej w świecie podzielony jest rozum, bo nikt nie narzeka na jego brak, niemniej, od czasu do czasu warto wskazać przynajmniej możliwości jego użycia, gdy zawadzą inne narzędzia odsuwania od kierowania.

Sytuacji na drogach jest mnóstwo i z czasem coraz więcej. Sytuacji trudnych, z których niekiedy nie ma porządnego wyjścia — sterta cała. Droga publiczna, zwłaszcza gdy używana, bywa nadużywana. Dróg publicznych nieużywanych raczej mało lub wcale nie ma. Choć większość z nas chodzi własnymi drogami, to jednak chadza po drogach publicznych, z czego wynika, że drogi własne to mrzonki. Trzeba się więc przyzwyczaić do zasad ruchu na drogach publicznych. Jest ich sporo, ale można wytrzymać. Kto nie wytrzymuje, niech lepiej siedzi w domu. Gorzej z tymi, co i w domu wytrzymać nie mogą. Na takich lekar-

stwa nie ma — gorzej, oni są źródłem rozmaitych niebezpieczeństw. Najlepiej takich unikać. Rada słuszna. Nie wiadomo tylko jak ją zastosować. Nikt nie ma na czole napisane, że nie wytrzymuje. Mimo wszystko trzeba sobie jakoś radzić. Korzystając z rozsądku i z ostrożności — oto najlepsze rozwiązanie.

Z trudnych sytuacji na drogach najtrudniejszy jest poślizg. Trzeba naprawdę doświadczonego kierowcy, by zeń bez szkody wybrnąć. Pojazd w poślizgu to groźba dla wszystkich. Dla kierowcy, pasażerów, innych użytkowników dróg. Także dla środowiska naturalnego, choć tego przy drogach publicznych coraz mniej. Drzewa powycinane, rowy powyglądane. Środowisko naturalne odsuwa się od dróg coraz dalej i dalej. Ma to służyć bezpieczeństwu jazdy. Niewątpliwie służy, chociaż usypia także wyobraźnię kierujących pojazdami. Skoro nie ma żadnego drzewa, trudno na nie wpaść. Więc prędkości coraz większe, przewidywania jej konsekwencji coraz mniejsze. Im szybsza jazda, tym większe prawdopodobieństwo poślizgu. Kto się zbyt szybko spieszy, nie zdąży nigdzie na czas. Poślizg lubi spieszących się. Lepiej więc zwolnić z góry, niż hamować w ostatniej chwili. Hamulec nie w porę użyty, poślizg ułatwia, a wtedy specjalne manewry, nie wszystkim dostępne, mogą nas z niego wyprowadzić. Wszelako lepiej na nie nie liczyć, tym bardziej, że poślizgu na kursach nie uczą.

Poślizg na drodze jest realnym zagrożeniem życia. Kto się w nim znajdzie najczęściej nie wie jak zareagować. Są to typowe sytuacje bez wyjścia. Cokolwiek się uczyni, zrobi się źle, jeśli szczęście nie pozwoli inaczej. Pojazd kieruje się wtedy własnymi prawami mechanicznymi i bez ich znajomości, nie ma co marzyć o wyjściu z poślizgu. Poślizg jest bowiem typową reakcją mechaniczną pojazdu znajdującego się w nietypowych dla siebie warunkach. Działa on wtedy normalnie, choć działać powinien przeciwnie. A do tego typu zachowań należy zmusić go nietypowymi reakcjami.

Doświadczeni mistrzowie kierownicy dobrze o tym wiedzą. Na nietypowe sytuacje należy reagować nietypowo. Wszelka rutyna raczej szkodzi niż pomaga. A rutyniarzy coraz więcej, nawet młodzi za takich się mają. Rutyna zawsze chce mieć rację, nie uznaje swoich niekompetencji, gdy w grę wchodzi sytuacja nietypowa. Kiedy zaś następuje nieszczęście, winę zwała się na trudności obiektywne. Tymczasem poślizgu można uniknąć zanim nam zagrozi. Trudności obiektywne nie pojawiają się wtedy wcale.

Każdy pragnie żyć w miarę bezpiecznie, a mimo to produkuje sytuacje niebezpieczne. Niektórzy czynią tak z poślizgu, czyli nie wiedzą co czynią. Jakoś im tak ciągle wychodzi, że na czas nie zdąży. Mówi się

wtedy, że działają z poślizgiem. Poślizg stał się terminem na oznaczenie spóźnienia już nie tylko reakcji na szosie, ale w ogóle w życiu. Mieszkamy w domkach oddanych z poślizgiem. Szwecy buty zeluje poślizgiem, bliźni długi oddaje z poślizgiem. Całe życie jak jedna wielka zima i trudności obiektywne. Trzeba przyznać, że wymaga to wytrzymałości nieliczej, odporności, cierpliwości i solidnego charakteru. Charakter to my rzeczywiście mamy, nie można narzekać. Brakuje nam zaś w zamian rzetelnie podzielanych butów i nierozsądnie pożyczonych gotówki. Ale wszystkiego nie możemy mieć. Ostatecznie bez butów można jakoś żyć, bez charakteru znacznie trudniej. Pedagogzy mogą być dumni. Kształtowanie charakteru to ich przede wszystkim dziedzina. A tyle się złego mówi na szkołę i naszych nauczycieli. Widać jest to zwyczajne pomówienie, łgarstwo czystej wody. Takim postawom należy się odpór, czyli innymi słowy — dialog.

Poślizg jest sytuacją trudną, ale — jak uczy praktyka — można się doń przystosować. Choć wynika on najczęściej z nadmiernej szybkości, daje rezultaty spóźnione. Czasem są to efekty spóźnione nieodwracalnie. Poślizg bywa skutkiem nie w porę uruchomionego przyspieszenia. A jeśli w porę, to akurat nie w tym miejscu co trzeba. Z przyspieszeniem sprawa kłopotliwa, choć wielu wydaje się atrakcyjna. Szybkość pociąga i wciąga jak narkotyk. Z tym zgoła jest już dramatycznie. Okazuje się bowiem, że to niewłaściwy kierunek używania, groźny dla życia. Szybkość musi znać swój kierunek jazdy. Jeśli się przyspieszy w niewłaściwą stronę, trzeba jeszcze szybciej wracać. Traci się na tym w dwójnasób. Poślizg tylko na to czeka. Już gotuje swoje niespodzianki. I tak można zabrnąć w niebezpieczeństwa.

Kierowania samochodem — i nie tylko samochodem — trzeba się uczyć ciągle. Nie chodzi nawet o osiągnięcie mistrzostwa, raczej o przyzwoity poziom. Przyzwoitości na wielu poziomach trzeba nam więcej niż błyszczącego mistrzostwa. Przyzwoitość na drodze publicznej — to cnota społecznie poszukiwana. Chroni przed poślizgiem i zaskakującymi sytuacjami. Prawda, nie rzuca się w oczy, ale raczej chodzi o to, by nikogo nie osłepiać, zwłaszcza tych, co jadą z przeciwka. Oni jadą z przeciwka, ale nie przeciwko nam, tylko w przeciwną stronę. Na drogach publicznych jak to na drogach, jest ich tyle samo co nas. Czasem nawet więcej. Tym bardziej należy wtedy uważać. Chronić się przed poślizgiem nade wszystko. Czołowe zderzenie w wyniku poślizgu owocuje tragicznie. Także dla tych, co w niczym nie zawinili. Oni tylko jechali w przeciwną stronę.

JERZY GRAS

Dzieje cywilizacji (3)



Malowidło czarnofigurowe na wazie attyckiej

data, okres	lokalizacja geograficzna, polityczna	
660	Świat egejski	Kolonizatorzy z Megary zakładają nad Bosforem Bizancjum, wkrótce ważny port handlowy. Odegra on ważną rolę w wojnach grecko-perskich. Konstantyn Wielki przeniósł tam w 330 r. n. e. stolicę państwa rzymskiego i nazwał ją Konstantynopolem.
660	Japonia	Panowanie Dżimmu Tanno, pierwszego cesarza Japonii.
650-560	Świat egejski	Safona. Najslawniejsza poetka liryczna grecka, autorka kilku tysięcy wierszy.
650	Kraje zachodnie — Italia	Etruskowie panami Lacjum. Podbój Rzymu i nadanie mu nazwy Roma od nazwiska etruskiego rodu Ruma.
625	Świat egejski	Urodził się Tales z Miletu, założyciel jońskiej szkoły filozofii przyrody, uczonego, astronom. Przepowiedział zaćmienie słońca w 585 r.
621	Świat egejski	W Atenach prawodawstwo Dracona — pierwszy spisany kodeks, sporządzony na podstawie istniejących zwyczajów. Niezwykle surowy („drakońskie” kary), nie rozróżniał przestępstw mniejszych i większych. Reakcją nań był kodeks praw spisany przez Solona w 594 r.
616	Kraje zachodnie — Italia	Założenie dynastii Tarkwintuszy w Rzymie.
612	Wschód	Zdobycie stolicy Asyrii, Niniwy przez Medów i Babilończyków. Upadek Niniwy i katastrofa państwa asyryjskiego, zgniecionego przez terroryzowane jego polityką podbite ludy.
600-500	Chiny	Życie Lao-cy, myśliciela i pisarza chińskiego, twórcy taoizmu, postawy filozoficznej głoszącej obojętność wobec wartości przeszłości oraz nowych zjawisk społecznych, politycznych i gospodarczych na podstawie obserwacji przyrody.
600	Kraje zachodnie — Francja	Fenicjczycy z Azji Mniejszej zakładają Massalię — dzisiejsza Marsylia.
ok. 600	Grecja	Wczesna tyrania w państwach-miastach. Tyrania — forma rządów w okresie przejściowym między panowaniem arystokracji rodowej a rządami demokracji, powstała w wyniku walk między ludem a arystokracją. Przywódcy ludu (często arystokraci, oderwani od swego stanu) zatrzymywali jako tyrani pełnię władzy.
594	Grecja, Ateny	Początek archontatu Solona, ateńskiego prawodawcy i poety, i jego reform ustawodawczych i politycznych.
582	Grecja	Pierwsze igrzyska pityjskie (w Fokidzie) na cześć Apollina; obejmowały zawody muzyczne i gimnastyczne. W przeciwieństwie do I. olimpijskich, honorowanych wieniec z gałązek oliwnych, tu zwycięzcy dekorowano wawrzynem.
563-483	Azja środkowa, Indie	Życie Buddy (wł. Siddharthy-Guamtamy). „Buddha” znaczy przebudzony, oświecony. Guamtama opuścił dom i rodzinę, a zrezygnowawszy z ascezy oddał się medytacji. Dostał oświecenia, założył zakon w Benaresie, do 80 r. życia wędrował po Indiach wygłaszając kazania i zyskując wielu wyznawców.
ok. 559	Wschód	Powstanie państwa perskiego po opowaniu przez plemię Persów państwa Elamów i Medów pod wodzą Cyrusa I, pierwszego króla perskiego.
551-479	Chiny	Konfucjusz, twórca konfucjanizmu. Uważał, że uzdrowienie panujących stosunków może nastąpić dzięki nawrotem do tradycji, przywróceniu terminom ich pierwotnego sensu, dzięki powtarzaniu dawnych czasów.
546-522	Wschód, Persja	Podboje Persji na wschodzie pod wodzą Cyrusa. Wzrost potęgi Persji. Wprowadzenie przez Persów nowej taktyki wojennej: nagle, zmasowanego ataku konnicy.
518-446	Grecja	Pindar z Teb, grecki poeta liryczny, autor pieśni lirycznych, mistrz stylu wzniosłego w lirycie. Wywarł duży wpływ na Horacego.

DZIEŃ UROCZYSTY



Akcja opowiadania wyjętego z powieści pt. „Wójt wobromski” toczy się w Krakowie, w roku 1518, w czasie uroczystych zaślubin Zygmunta Starożytnego i Bony. Głównym bohaterem jest Andrzej Frycz Modrzewski.

Tłum odświętnie ubranych mieszczan, rzemieślników i żaków pod zamkiem wawelskim falował nieprzerwanie, gdyż raz po raz nowe grupy żaków usiłowały przedostać się do pierwszego szeregu patrzących, tuż przed kordonem Tatarów. Nad różnobarwnym gęsto zbitym tłumem unosiły się słowa polskie, łacińskie, niemieckie, węgierskie, ruskie i czeskie. Bursa ubogich, bursa prawnicza, węgierska i niemiecka wysłały tej niedzieli wychowanków, aby mogli się przypatrzyć uroczystościom koronacyjnym drugiej małżonki Zygmunta, Bony. Pół tysiąca studentów Akademii wyośliło się na ulice Krakowa, niebawem zatłoczonego od kilku dni przez niezliczonych a świetnych gości, ich służby, pocztę honorowe, kolski i konie.

W dostatnio ubranej gromadzie wychowanków Bursy Jerolimskiej stało obok siebie dwóch młodzianków. Starszy z nich, piętnastolatek smukły i strzelisty, o pociągłej bladej twarzy i wielkich, czarnych oczach, ścisnął pod pachą rękopis owinięty w jedwabny pokrowiec, drugi, młodszy o jakie dwa lata, z dużą głową, niespokojny i ciekawski, rozglądał się po ludziach, zadzierał głowę, wzdychał, pogwizdywał i coraz to zagadywał swego milczącego koleżę.

— Ależ cudny ten zamek — rzekł po raz trzeci już chyba — prawda, że cudny? Ugodził chyba król w smak swojej włoskiej oblubienicy?

Za czym wpatrzył się z tęsknotą w kwietniowe niebo rozpostarte nad wawelską górą.

— Jak ty możesz wytrzymać w mieście? Nie cknij się za goniwą po polach w taki dzień? — wetchnął łakomie słodkie, a rzeźwe powietrze. — Szczęśliwie, że chociaż Wisła tu jest. Wybierzemy się potem za miasto nad rzekę. Dobrze, Fryczu?

Czarnooki młodzieńczyk spojrział stropiony, tęskno mu bowiem było do książki, którą sobie obiecywał skończyć tego przedpołudnia w jakimś zacisz-

nym kącie, wstydził się jednak przyznać do tego Rejowi.

Senior bursy oddał mu przybyłego onegdaj kolegę pod opiekę, a Frycz i lubił się wywiązywać z poleconych obowiązków, a i młody kolega przypadł mu do serca. Ojciec i stryj, którzy przywieźli byli Mikołaja do Krakowa, prosili kierownika, by go samego nie puszczał z miastem. Nie tailli, że Mikołaj wielkich chęci do nauki dotąd nie okazywał, lubił natomiast pospoczyć i przepadać całymi dniami poza domem.

Niech się uczy, a nie chodzi na wagary — prosili na pożegnanie. A że prócz zwykłych opłat niewielkich zresztą, zostawili panowie Rejowi spory trzos na potrzeby bursy, opiekun, chociaż miał stu wychowanków, czyli że niemal tyleż kłopotów na głowie, nie zapomniał o małym Mikołaju i polecił Fryczowi, by go nie odstępował i do bursy po uroczystościach przeprowadził.

Rozmyślał właśnie Andrzej, co by Mikołajowi rzec na jego prośbę, kiedy wdarł się między nich przekupień w baraniej czapce, z wielkim koszem zawieszonym na szyi.

— Pierniki, świeże pierniki, miodowe pierniki! — śpiewał donośnie, przytrzymując ciężki kosz na brzuchu. Ledwo się przedarł, ruszyła za nim baba szeroka jak dzwon, trwożnie patrzając jakom na ręce.

— Orzechy, jabłka, moje orzechy! — zapiszczała płacziwie.

— Król idzie! Król — usłyszeli głosik żaczka.

Ludzie ucichli, znieruchomieli. Co niżej wspięli się na palcach, zadzierając głowę. W bramie zamku zaśniły złotogłowa, aksamity, jedwabie. Poprzedzony przez długi orszak najwyższego duchowieństwa i najprzedniejszych senatorów, kroczył powoli w całym majestacie Zygmunta, z bożej łaski król Polski, wielki książę litewski, ruski, i pruski, pan dziedzic, w złocistej koronie na czarnych jeszcze, równo nad czołem przyściętych włosach, w szkarłatnym płaszczu, bogato sobolami ozdobionym. Wpatrywano się w tę wyniosłą postać, pełną surowego majestatu i dostojeństwa, jakby chcieli wyczytać własny los i los Rzeczypospolitej.



Zygmunt Stary



Bona

Przed królem postępował kancleż Krzysztof Szydłowiecki, o twarzy władczej i pysznej, jakby na chwilę nie zapomniał, iż całą politykę króla prowadził i wiódł, kędy chciał. Niósł on w rękę berło. Obok niego szedł wojewoda poznański Mikołaj Lubrański z jabłkiem królewskim.

Za królem kroczyła Bona w niebieskiej atlasowej sukni, haftowanej złotem. Nie na darmo mówiono, że rodzice jej mieli stu królów w rodzie, dumna i piękna, chociaż obcą oku polskiemu pięknością, ukazywała się oczom krakowian jak jaka święta na obrazie. Odprowadzono jej drobną postać wzrokiem i coś jak westchnienie uleciało nad tłumem. Za królową szedł mieniący się orszak dworek i haftowane perłami, złote łańcuchy, manele, drogie pierścienie migotały i lśniły w słońcu.

Cała droga — od bramy zamkowej, przy której stała honorowa warta przybocznych gwardzistów ubranych w białe kurty i pończochy, z halabardami w ręku, aż po bramy katedry, gdzie dowódcy gwardii w złotych łańcuchach na piersi czuwali — wysłana była grubym, czerwonym sukniem, na którego tle odbijały się pyszne stroje królewskiego orszaku.

Ludzie stojący za kordonem Tatarów pilnujących porządku zaczęli się tłoczyć i w kilku miejscach przerwałszy kordon, gdy orszak przeszedł, wdarli się aż na czerwoną drogę z sukna. Tatarzy pokrzykiwali chrapliwie, wywijając w powietrzu nahajami. Gdy żacy nie chcieli się cofnąć — nie chcieli, gdyż nie mogli, tak wielki był napór słoczonoj cizby — Tatarzy świsnęli nahajami po plecach i twa-

rzach napierających. W jednej chwili prysnął zachwyt i zbożny podziw. Wściekłość jak pożar ogarnęła ludzi.

Żacy, rzemieślnicy, nawet baby obrzucili kamieniami straż, raniąc skośnookie, nienawistne twarze. Ktoś nożem wyciął kawał czerwonego sukna i podniósł go w górę jak żagiew. Jęki, przekleństwa wlatywały wraz z kamieniami w kotłowisko.

Kiedy w powstałym tumulcie Andrzej zauważył, jak powierzony jego opiece Rej chwytą za kamień i rzuca w Tatara raniąc go w nos, przeląkł się, że Mikołaj gotów nie tylko guza oberwać, ale i wcale do bursy już nigdy nie wrócić, gdyż Tatarzy z wykrzywionymi ohydnie twarzami rzucili się, jakby nie na służbie królewskiej, lecz ku spustoszeniu chrześcijańskiego kraju ruszyli. Frycz pociągnął Mikołaja z całych sił za pas, tak że ten niemal upadł. Ocaliło to chłopca od potężnego razu. Nahajka Tatara świsnęła w powietrzu, aż jęknęło, i spadło na zdumianą twarz wiejskiego chłopca raniąc go do krwi.

— Pomóżcie mi — rozkazał spokojny męski głos. — Zadepczą go w tłumie.

Andrzej z Mikołajem ujęli pod pachy zemdłego z bólu i z przerażenia chłopczynę i wraz z nieznanym wynieśli go, przedzierając się z trudem przez rozniewaną, kotlującą się cizbę.

Nieznanomy, czterdziestokilkuletni mężczyzna w ciemnym, surowym stroju, skierował naszych młodzieńców w stronę kamieniczki opodal góry zamkowej się znajdującej.

Ranny chłopiec wrócił już był do przytomności i teraz wodził

przestraszonym a mętnym wzrokiem po twarzach nad nim pochylonych, nie mogąc ze zdumienia przyjść do siebie. Zapłakał ze strachu, gdy lekarz przemysł mu ranę i przyłożywszy na lnianym płatku maść zgrabnie obwiązał głowę.

Uspokajał się powoli, a łyknąwszy piwa, którym gospodarz poczęstował swoich niespodziewanych gości, opowiedział, jak to przybywszy rankiem do Krakowa zobaczył ludzi spieszących na zamek i wtedy zamiast pójść wprost do wuja matczynego, jak miał przykazane, podążył za innymi.

— I taka mnie nieprzyjemność spotkała — zakończył ocierając kulakiem oczy.

— A pamiętasz, gdzie ten twój wuj mieszkał? — spytał gospodarz.

— Ano, pamiętać pamiętam. W Bursie Jeruzolimskiej. Arkadiusz się zwie. Ale jakżeż ja mu się na oczy pokażę. Zawiniątko z moimi rzeczami i gościńcem dla wuja gdzieś mi u tych Tatarów strasznych przepadło. Jak ja się teraz z taką gębą wujowi pokażę. Pomyśli, że gdzie w karczmie burdy wyczyniał.

— Opowiem mu, jak ci to się przygodziło. Znam dobrze twego wuja. Co dzień go widuję — uspokajał chłopaka Frycz. „Użyjesz ty, biedaku” — pomyślał. Arkadiusz miał w bursie pieczę nad spiżarnią i kuchnią. Stary zrzęda dawał się we znaki wychowankom bursy. Nawet najzuchwalsi go unikali.

— A z daleka idziesz? — spytał lekarz.

— Ze Skalmierza. Chciałem tu do szkół.

— A ty — zagadnął młodszy lekarz Andrzeja — widzę, że nawet na uroczystości królewskie z rękopisami się wybierasz?

— Bo wielce one ciekawe, panie, a muszę je rychło skończyć. Czytam, kiedy się da, w dnie i w nocy.

— Pozwól chłopcze, bo i mnie te rzeczy ciekawia.

Andrzej rozwinął jedwabny, mocno postrzępiony gałgan i podał lekarzowi. Ledwo jednak nieznanomy wzięł manuskrypt do ręki, podniósł oczy na Andrzeja i wpatrzył się w niego dziwnym wzrokiem, w którym było radosne zdziwienie i jakaś rzewność wielka.

— Mówisz — rzekł cicho — że to chciwie czytasz?

— Tak, panie. Jeszcze nie miał pisma, które by mnie równie poruszyło — odrzekł żarliwie Andrzej. — Nie wiem — zaważał się — czy was nie dotknę, bo może jako nasi teologowie w Akademii sądzicie, ale wielu spośród nas chciwie w nowinkach wittenberskich się rozczytuje, a tu w dedykacji Polak o te sprawy zahacza i wybornie je polskim wierszem wyklada.

— Ze mieszania zamilkł. — Gniewacie się, panie? — przeraził się widząc łzy w oczach lekarza. — Przebaczenie, jeśli was uraził.

— Radość mi wielką sprawiłeś, bom ja to napisał.

— Wyście Biernat z Lublina? — wykrzyknął z przejęciem Andrzej, cofając się o pół kroku i wpatrując się w szlachetną twarz mieniącą się od wzruszenia.

Wpatrzył się Biernat uważnie w bladą, skupioną twarz swego młodego wielbiciela i wyznawcy.

— Jak cię, synu, zowią?

— Andrzej Frycz Modrzewski — wyrzekł młodzieńczyk poważnie i skłonił się z szacunkiem przed pisarzem.

— Frycz Modrzewski — powtórzył jak echo Biernat z Lublina. — Chyba się nie mylę, że z latami dalej ty rzecz poprowadzisz, którą zacząłem — uderzył chudymi, kościstymi palcami w rękopis swego „Żywota” i bajek Ezopa Fryga.

— A mówiłem wam wczoraj, Biernacie, gdyście się tak smucili — wtrącił z łagodną wymówką sędziwy gospodarz —, że zbyt łatwo tracicie ducha. Oto piękny dziś macie dzień i pomyślny.

(fragmenty opowiadania ANNY KOWALSKIEJ pod tym samym tytułem)

Dlaczego psy nie lubią kotów

Mówi się u nas czasem, że ktoś kogoś „lubi” jak... pies kota. Oczywiście, chodzi tu o to, że właśnie te dwie osoby serdecznie się nie cierpią, wręcz nie znoszą. Skąd jednak wzięło się to powiedzenie? Sięgnijmy do starej bajki z dalekiej Korei, a ona nam wszystko wyjaśni...

Bardzo, bardzo dawno temu, mieszkał w ubogiej chatce nad rzeczką pewien stary, biedny człowiek. Nie miał już nikogo bliskiego, ale zaprzyjaźnił się bardzo z psem i kotem — oni byli jego jedynymi przyjaciółmi. Pies i kot też żyli ze sobą w przyjaźni, tak więc — choć często głodowali, bo staruszkowi nie powodziło się najlepiej — stanowili dobraną trójkę prawdziwych, wyprobowanych przyjaciół.

Mijały lata, staruszkowi bieda towarzyszyła na co dzień. Rzadko kiedy się zdarzało, by zjadł porządną obiad, nie mówiąc o skromnych wieczerkach czy śniadaniach. Ale nawet wtedy, kiedy miał już ostatni kęs chleba czy ostatni łyk zupy, dzielił uczciwie to na trzy części: dla siebie i dla swoich przyjaciół. Któregoś dnia staruszek zebrał w lesie sporą wiązkę chrustu i sprzedał ją w pobliskiej wiosce. Za uzyskane ze sprzedaży pieniądze kupił garść ryżu i trochę dobrego, pożywnego wina. Ucieszył się z tego bardzo, gdyż myślał, że po raz pierwszy od kilku dni zje porządną obiad i pójdzie spać najedzony! Okazało się jednak zupełnie inaczej. Gdy tylko ryż zdążył się ugotować, staruszek usłyszał za drzwiami swojej chatki cichutkie jęczenie. Wyjrzał więc przez okno i zobaczył jakiegoś obdartego wędrowca, ślaniającego się z głodu na nogach. Szybko więc wybiegł na podwórze, podniósł nieznajomego wędrowca i wciągnął go do swej izby. Następnie, widząc, że biedak kona z głodu, postawił przed nim miseczkę świeżo ugotowanego ryżu. Patrzył z przyjemnością, jak biedny wędrowiec zaspokaja swój głód, a gdy miseczka była już pusta, nalał do dzbana wino, które zakupił w wiosce, i postawił przed nieznajomym. Ten, nasyciwszy się ryżem, wypił dobre wino i powiedział do staruszka:

— Teraz czuję się doskonale. Ponieważ nie poskapileś mi ostatniej garstki ryżu i ostatniej czarki wina, dam ci w podziękę zaczarowany kawałek bursztynu. Połóż go w garnuszkę, a ryżu będziesz miał zawsze pod dostatkiem i nigdy już sam nie zaznasz głodu...

To mówiąc, położył przed zdziwionym staruszką kawałek bursztynu i — zniknął. Stary wrzucił do garnuszka bursztyn — i garnuszek od razu napełnił się białutkim, sykim, pysznym ryżem. Pies i kot, równie zdziwieni jak ich pan, najedli się też do syta, a ryżu w garnuszku wcale nie ubywało...

Od tego dnia trójka przyjaciół żyła dostatnio i spokojnie. Staruszek zaczął nawet sprzedawać wędrowcom po niskiej cenie ryż w ślicznych, białych miseczkach, a gdy ktoś nie miał pieniędzy — częstował go za darmo. Aż się ludzie wokół dziwili, skąd staruszek nagle stał się taki bogaty, że nawet częstuje ludzi jedzeniem, ale on — nie odpowiadał nic, uśmiechając się tylko...

Wszystko toczyło się jak z płatka, spokojnie i bez żadnych niespodzianek. Pewnego dnia jednak wydarzyło się straszne nieszczęście. Staruszek, nakładając pewnemu człowiekowi ryż na miseczkę, nie zauważył, jak zaczarowany bursztyn wypadł z garnuszka i wpadł temu człowiekowi prosto do kieszeni... Gdy zabrakło czarodziejskiego bursztynu — zabrakło też oczywiście i ryżu. Staruszek z przyjaciółmi znów zaczęli przymierać głodem...

Okazało się jednak, że pies z kotem postanowili uratować swego pana od biedy: za jego dobre serce, uczciwość i sprawiedli-



wość. Pies, znając swój dobry węch, miał spróbować wywęszyć kawałek bursztynu, a kot miał mu w tych poszukiwaniach pomagać. Tak też i zrobili. Codziennie wypuszczali się na dalekie wędrowki węsząc niezmordowanie po innych domostwach, zagrodach, mieszkaniach... Bez skutku jednak. Zaczarowanego bursztynu nigdzie nie było! Wreszcie wpadli na pomysł, że trzeba szukać po drugiej stronie rzeki — ten obcy przybysz musiał na pewno być z daleka. Kiedy więc nastąpiły mrozy i lód pokrył całą rzekę, dwaj przyjaciele wyruszyli na drugi brzeg w dalszych poszukiwaniach. Minął tydzień, dwa tygodnie, później i trzy — a pies nigdzie nie poczuł zapachu bursztynu. Kot stracił już nadzieję, nawet powiedział psu, żeby zaprzestali tych poszukiwań — trzeba sobie teraz znaleźć bogatego pana, przy którym będzie im się żyło wygodnie i dostatnio... Pies mało kotu skóry nie zdził ze złości na te słowa, ale w końcu wytłumaczył że w żadnym wypadku nie można opuszczać przyjaciela w biedzie.

Kiedy zapadła czarna noc, a pies z kotem byli już tak wyczerpani i zgłodniałi, że zastanawiali się, co teraz mają zrobić, zobaczyli jeszcze jeden dom, który — jak dotąd — uszedł ich uwadze. Szybko podbiegli do niego — kot wdrapał się na dach, a pies dostał się na przestronną werandę. Od razu też poczuł znajomy zapach bursztynu — a więc nareszcie się udało!

Sprawa jednak nie była taka prosta, jak im się z początku wydawało. Bursztyn został przez obcego człowieka wrzucony do skrzyni, i — zapewne zapomniany, spoczywał tam spokojnie, bezpieczny w zamknięciu. Długo naradzali się dwaj przyjaciele, jak wydobyć z tej skrzyni zaczarowany bursztyn. Wreszcie postanowili: przyprowadzony przez kota król szczurów, usłyszawszy obietnicę, że koty i psy przez dziesięć najbliższych lat zaprzestaną polowań na szczury — zrećnie wygryzł w skrzyni otwór, by wydobyć zeń bursztyn... Nie czekając już światła, gdy tylko zaczarowany kamysek znalazł się w ich posiadaniu, pognali szybko do domu, szczęśliwi i niespokojni o staruszkę. Gdy jednak dobiegli do rzeczki, stanęli zaskoczeni: rzeką spływała właśnie kra... Jak więc mogli przedostać się na drugi brzeg? Pies jednak nie zawahał się. Kazał kotu schować bursztyn do pyszczki i wsiaść mu na grzbiet. Pływał doskonale, więc kazał tylko jeszcze raz kotu uważać na siebie i na bursztyn — i dzielnie wskoczył do wody.

Ciężka to była przeprawa. Kra objęła mu się o zmęczone piersi, silny prąd znosił go w dół rzeki. Pies jednak wytrwale pływał, tęsknym wzrokiem spoglądając na przybliżający się drugi brzeg. Tymczasem...

Na brzegu rzeki bawiły się w tym czasie dzieci. Zauważywszy, że kot jedzie okratkiem na psie przez rzekę, zaczęły się śmiać, wskazując ich sobie palcami. Pies się na to rozgniewał, ale głupi kot — zaczął się śmiać. Wreszcie nie wytrzymał, i zaśmiał się tak szczerze — że bursztyn wypadł mu z pyszczki... Kot przestraszył się, i gdy tylko pies dopłynął do brzegu — dał drapak na drzewo i siedział tam tak długo, jak tylko mógł wytrzymać, by tylko nie spotkać się oko w oko z rozwścieczonym psem.

Pies jednak wcale nie czyhał na kota. Zrozpaczony, wyczerpany przeprawą, nurkował jednak w nadziei, że uda mu się wyłowić czarodziejski bursztyn i odnieść go swemu ukochanemu panu. Nurkował raz za razem, ale niestety — bez powodzenia. Zziębnięty, ledwo żywy ze zmęczenia, położył się przy brzegu i patrzył w rwący nurt rzeki. Rybak, łowiący w pobliżu ryby, złowił właśnie w tej chwili małą rybkę, więc cisnął ją psu, bo wyglądał mu na głodnego. Pies chwycił rybę w locie, już chciał ją zjeść — gdy przypomniał sobie o staruszkę, który na pewno czekał na niego, i na pewno musiał być bardzo głodny... Pobiegł więc z tą rybką do chaty staruszka.

Okazało się, że przybył w samą porę — staruszek nie miał nic w ustach od kilku dni, i już prawie konał z głodu. Ucieszył się ogromnie z powrotu przyjaciela, i jego radość powiększyła się jeszcze, gdy nożykiem rozciął rybkę na dwie części, a z niej — wypadł mu pod nogi zaczarowany bursztyn...

Znów w chatce staruszka zagościło szczęście i dostatek. Dożył końca swych dni spokojnie w cieple, wygodzie, dzieląc się każdym okrucem szczęścia ze swym najlepszym przyjacielem — psem. I pies odwdzięczał mu się tym samym. Był też miły i towarzyski dla wszystkich, którzy odwiedzali dom staruszka — tylko koty przepędzał niechętnie, nie pozwalając im się nawet zbliżyć do domu... Od tej to właśnie pory psy tak bardzo nie lubią kotów, a koty — co tu dużo mówić — czmyhają na widok psa jak niepyszne... Są też, oczywiście, wyjątki — ale gdzież ich nie ma?

Opr. E. LORENC



Rozmowy z Czytelnikami

Drogi Panie Janie Sz. z Wesołej! Nie mogę zaakceptować Pańskiego „wyznania wiary”, ponieważ jest ono niezgodne z wiarą Kościoła pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wyrażam jednak pełny szacunek dla Pana trudu poszukiwania prawdy. Podejmując wysiłek jej szukania powinniśmy sobie uświadomić własną ograniczoność i omylność oraz konieczność konfrontacji swoich przemyśleń z prawdą zdobytą przez pokolenia naszych ojców i ludzi nam współczesnych. W tym pomaga nam wszechstronna i gruntowna wiedza zdobytą drogą systematycznych studiów. Nie można wyrokować o prawdziwości „prawdy wiary” jedynie na podstawie uczuciowego do niej stosunku lub fragmentarycznej znajomości Pisma świętego i nauk, które je wyjaśniają. Nie znam kryteriów, na podstawie których ułożył Pan swoje wyznanie wiary, i nie zamierzam z nimi polemizować. Jedno, co w nim uderza najbardziej, to brak miejsca dla Zbawiciela świata — Jezusa Chrystusa — Syna Bożego. To jest zapewne jedna z przyczyn dla których odmawia Pan Maryi — Matce Jezusa Chrystusa — tytułu Bogarodzicy. Pismo święte wyraźnie nazywa Jezusa Synem Najwyższego. Tego Syna Maryja poczęła, a stąd już prosty wniosek: Maryja jest Matką Syna Bożego.

Drużga część Pańskiego listu zawiera pytania, na które chętnie odpowiem. „Dlaczego Tradycja jest dostępna tylko dla elity? Jakże pisma pisarzy chrześcijańskich i Ojców Kościoła uznaje Kościół Starokatolicki jako Objawienie Boże? Według jakich kryteriów Kościół Starokatolicki dokonuje selekcji pism Tradycji, uznając jedne za natchnione a inne za delikatnie mówiąc błędne?” Ostatnie pytania dotyczącego tradycji nie cytuję, bo jest dla mnie niezrozumiałe. Tradycja chrześcijańska jest dostępna nie tylko dla elity. Każdy zwykły śmiertelnik może się z nią zapoznać, bo jest ona spisana w symbolach wiary, w Pismach Ojców Kościoła i w aktach Soborów ekumenicznych. Kościoły chrześcijańskie nie są zgodne w uznawaniu ważności Tradycji jako źródła Bożego objawienia. Z punktu widzenia Kościoła Starokatolickiego można określić Tradycję jako naukę Bożą przekazywaną przez niepodzielony Kościół pierwszego tysiąclecia. Warto sobie uświadomić, że zanim zostało napisane Pismo święte Kościół głosił żywe słowo Boże. Żywe nauczanie Kościoła było więc wcześniejsze od Pisma świętego. Tradycja spisana jest żywym echem nauczania Kościoła w dawnych czasach. Kościół Starokatolicki nie dokonuje selek-

cji Tradycji. To co było powszechnie uznawane, to w co wierzone — jest dla nas Tradycją.

„Czy jest możliwość otrzymania sukcesji apostołskiej? Jeśli tak, to jakie trzeba spełnić warunki?” Celem sprecyzowania pojęcia sukcesji apostołskiej wyjaśniam, że tak nazywa się nieprzerwane powiązanie biskupów z apostołami. Konsekrowani przez apostołów biskupi udzielali sakry innym, a ci konsekrowali swoich następców. W ten sposób powstał nieprzerwany łańcuch przekazywania biskupstwa. Biskupi Unii Utrechckiej, do których należą również biskupi Kościoła Polskokatolickiego, posiadają niekwestionowaną sukcesję apostołską. Sakrę biskupią w naszym Kościele udziela się wybranemu przez Synod kapłanowi za wiedzą konferencji Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej, a warunkiem jej otrzymania jest między innymi przyjęcie tez zawartych w Deklaracji Utrechckiej Biskupów Kościoła Starokatolickiego z 24 września 1889 roku. Unia Utrechcka jest „wolnym związkiem samodzielnych Kościołów krajowych, uznających te same zasady wiary, ustroju i służby Bożej”. Z powyższego wynika, że ludziom tak wierzącym jak Pan nie może być udzielana sukcesja apostołska. Aby być biskupem trzeba najpierw być wierzącym, kapłanem po odbyciu odpowiednich studiów teologicznych i filozoficznych itp.

Rozpocząłem i kończę rozmowę o problemach zawartych w Pańskim liście refleksjami na temat o charakterze ogólnym. Człowiek jest istotą społeczną. Nasza droga do Ojca prowadzi we wspólnocie-Kościół. Kościół Powszechny jest podzielony na różne wyznania. Wynika to z różnorodności interpretacji Pisma Świętego i ludzkiej słabości. Chrześcijańskich dróg do Boga jest tyle, ile wyznań chrześcijańskich. Wśród zgromadzonych w Kościele każdy wobec Boga jest indywidualną osobą. Nie ma wśród ludzi osób identycznie myślących. Wszystkich ludzi wierzących w Jezusa jednoczą sprawy najważniejsze, takie jak wiara w jednego Boga, wiara w Jezusa Chrystusa i dążenie do zapanowania Królestwa Bożego przez miłość. Duch Święty kieruje nas ku temu co łączy, a nie dzieli. Pod jego tchnieniem rozwija się ruch ekumeniczny, który jest znakiem czasu. Punkt 7 Deklaracji Utrechckiej Biskupów Kościoła Starokatolickiego głosi: „Mamy nadzieję, że dzięki wysiłkom teologów i w oparciu o wiarę niepodzielnego Kościoła uda się osiągnąć porozumienie w sprawie różnic powstałych od czasów rozłamów kościelnych. Wzywamy podległych naszemu kierownictwu duchownych, aby w głoszeniu Słowa i nauczaniu w pierwszym rzędzie podkreślali istotne prawdy wiary chrześcijańskiej, wyznawane wspólnie przez rozdzielone kościelne wyznania; przy omawianiu zaś istniejących jeszcze sprzeczności należy starannie unikać wszelkiego naruszania zasad prawdy i miłości, a członków naszych wspólnot, za pomocą słowa i przykładu, należy tak pouczać, aby wobec inaczej wierzących zachowywali się zgodnie z duchem Jezusa Chrystusa, który jest Zbawicielem nas wszystkich”.

Życzę, aby nie ustając w pokornym szukaniu prawdy znalazł Pan we wspólnocie Kościoła swoje miejsce w drodze do Boga.

„Interesuje mnie Kościół Pol-skokatolicki, jego zasady wiary, struktura i sposób kształcenia kandydatów do kapłaństwa. Proszę również o adres najbliższej Hajnówki parafii Kościoła Pol-skokatolickiego oraz o adres waszego seminarium duchownego”.
Edmund B. z Hajnówki.

Przepraszam za zwłokę w przekazaniu interesujących Pana informacji. Jako literaturę wstępną do zapoznania się z Kościołem Polskokatolickim polecam

PORADY

Mroż konserwujący

Dosyć często, szczególnie zimą kupujemy mrożone owoce i jarzyny. Często też spotykamy się z mrożonym mięsem i drobiem. Powszechnie przyjęła się forma przechowywania żywności w zamrażalniku domowej lodówki lub w zamrażarce. Na czym polega istota funkcji konserwujących zimna? Otóż pod wpływem obniżonej temperatury: 1. zwalnia się tempo rozmnażania bakterii, 2. zahamowany zostaje ich wzrost 3. procesy biochemiczne w artykułach żywnościowych dokonują się tym wolniej, im niższa jest temperatura, w jakiej one się znajdują.

Nie należy identyfikować przechowywania produktów w chłodniach z ich konserwowaniem przez zamrażanie. O ile w chłodniach wszelkiego rodzaju żywność przy obniżonej temperaturze nie ulega istotnym zmianom i możemy uważać, że spożywamy świeże jarzyny, mięso czy owoce, o tyle zamrażanie pociąga za sobą pewne zmiany w produktach roślinnych czy zwierzęcych. Dlatego też nie każdy produkt nadaje się do zamrażania. Na przykład sałata zielona po zamrożeniu nie nadaje się do jedzenia, a przechowana w chłodni (w lodówce domowej w jej dolnej części) nie traci niczego na wartości.

Zamrożenie pozbawia mikroorganizmy podstawowej pożywki — wody. Już w temperaturze minus 18 stopni; w której praktycznie cała woda zamienia się w lód, bakterie zupełnie nie mogą się rozwijać. W temperaturze minus 7 stopni przestają się rozwijać, a przy minus 10 stopniach nie rozmnażają się także pleśnie i grzybki. Nie można jednak traktować mrożonek jako produktów sterylnych, wyjąłowych z wszelkich bakterii. Rozmrożone bowiem produkty wszelkiego rodzaju mrożonek, tak roślinnych jak zwierzęcych, ulegają zepsuciu w takim samym czasie i w takim stopniu jak świeże. Dlatego trzeba je spożywać natychmiast po rozmrożeniu.

Mikroorganizmy nie rozmnażają się i nie rozwijają w temperaturze minus 10 stopni, natomiast enzymy, które znajdują się w komórkach każdego pro-

dukta, pozostają aktywne nawet w temperaturze minus 35 stopni. Dlatego w przeciętnych warunkach zamrożenia od minus 18 do minus 20 stopni, enzymy są czynne i utrzymują dokonywujące się w produktach procesy chemiczne, tym samym ograniczając czas ich przechowywania. Z tego powodu należy zwracać szczególną uwagę przede wszystkim na tłuszczce, lub produkty zamrażane razem z nimi (wieprzowina, ryby). Czas ich przechowywania w stanie zamrożonym jest ograniczony i ostateczny termin spożycia musi być podany na opakowaniu i ściśle przestrzegany przez konsumentów. Najdłużej zachowuje wartości odżywcze i smakowe zamrożona wołowina, fasola i groszek.

Wszystkich Czytelników serdecznie pozdrawiam.

DUSZPASTERZ

Przy przechowywaniu zamrożonych produktów w domowej lodówce również obowiązują podany na opakowaniu „termin ważności”. A poza tym — w zależności od rodzaju lodówki i możliwości osiągnięcia w niej określonej temperatury — należy obliczyć dopuszczalny okres przechowywania.

Jeśli zauważymy, że mrożonka zaczyna tajać — jest to sygnał do natychmiastowego jej spożycia.

A. M.

I kosmetyki nie pomogą

Od dawna już zwrócono uwagę na ważną rolę skóry w całości kształcie przejawów życiowych organizmu, ale dopiero w miarę rozwoju nauk medycznych dokładniej zaczęto poznawać ten narząd.

Skóra, jako zewnętrzna powłoka ustroju, chroni głębiej leżące tkanki i narządy od szkodliwych czynników zewnętrznych, z którymi człowiek styka się na co dzień. Skóra jednak to nie tylko ochronna powłoka, jest ona również ściśle z ustrojem związana: jest narządem wydzielniczym i wydalniczym, posiada zdolność odczuwania oraz regulowania ciepłoty ciała. Skóra, a właściwie naskórek, wytwarza stale nowe komórki, które wędrując ku górze, ulegają zrogowaceniu i w postaci łuski zrzucane zostają z jej powierzchni, przyczyniając się tym samym do usuwania czynników szkodliwych. Ponadto warstwa rogowa naskórka pokryta jest łożem wydzielniczym przez gruczoły łojowe — co nadaje skórze większą odporność, wytrzymałość i elastyczność. Kwasy tłuszczowe

— Moje dziecko, nie nam się równać! Ja jego nie czekam, ale dni dożywam. Ja już nie mam obowiązków, jam swoje odbyła, odcierpiała, odpracowała. Tobie trzeba swoje spełnić. Ty nie zdradzasz, ty nie łamiesz wiary; ty musisz życie przeżyć.

— Babcia wie, że gdyby nie ojciec, zniósłabym stokroć więcej jeszcze. Ale patrzeć nie mogę na jego wyrzuty i zgrzyoty. Muszę zejść z oczu pani Tomkowskiej. Wiem, że to, co mnie czeka, jeszcze będzie gorsze, ale przynajmniej ojciec nie będzie codziennym świadkiem.

Zamilkła, smutnymi oczyma patrząc przed siebie.

— Żeby choć wieść, że on żyje, żeby choć we śnie! — szepnęła ponuro.

— Gdyby żył, wieść by była. Grób tylko milczy! Ty, dziecko kochane z czystym sumieniem ofiarę spełnij. Ojciec ci pierwsz!

— Babcia mnie w sercu zachowa?

— Jak wnuczkę jedyną.

Dziewczyna przypadła do jej kolan i płakała długą chwilę. Potem się podniosła, otarła łzy i, ucałowawszy ręce staruszki, milcząc zeszła z ganku.

— Przyjedźże prędko! — pożegnała ją łagodnie.

— Jutro wieczorem!

Koń ruszył. Dziewczyna już nie dała sobie roztkliwiać się. Wolę miała bardzo silną, postanowienie stałe. Gdy wjeżdżała w podwórze Górowa, była zupełnie spokojna, prawie wesoła. U bramy, niespokojny, czekał na nią ojciec. Już trzeci raz odchodził od gości, wyglądał jej przybycia.

— Nareszcie! — odetchnął. — Chodźże prędej. Prezes się ciągle o ciebie dopytuje. Przyjechali już dawno.

— Muszę się przebrać chyba.

— Tylko prędko.

Zawołał stajennego, by konia odprowadził i poszli razem do oficyn.

Dom mieszkalny był jasno oświetlony, dwór cały obszerny, ślicznie zbudowany, luźny i zamożny. Kazia mieszkała w oficynie z woli i rozkazu jasnej pani, która nienawidziła pasierbicy i trzymała ją jako płatną służbę. Co prawda, antypatia była wzajemna, tylko Kazia umiała ją ukryć dla ojca.

Szpanowski wszedł za córką do jej mieszkania i podczas gdy ona zmieniała bluzę roboczą na niedzielną sukienkę, stał u stolika zapatrzony w płomień świecy, zamyślony, stroskany,

— Młody Sanicki bardzo przystojny, gładki! — zaczął wreszcie wahająco — ale ma coś w sobie... Czy ja wiem, coś zimnego, ostrego. Kaziu, jeśli ci się nie podoba... zlituj się... nie idź. Ja się tak boję o ciebie!

— Otóż znowu tato wynalazł sobie troskę! — odparła prawie śmiejąco. — Przecie Sinobrodym tylko dzieci straszą. Jeśli podobny syn do ojca, tom gotowa do jutra już się zakochać.

Szpanowski odetchnął. Jakby cień zszedł mu z twarzy.

— Ty, pocziwości. A pokaż no się, czyś ładna?

Obrócił ją do światła i z miłością patrzył.

Kazia była wysoka, trochę za chuda, niezbyt zgrabna, miała twarz mocno opaloną, oczy ciemne i poważne i ogromny warokocz, opleciony bez pretensji wkoło głowy. Sukienka niedzielna, źle skrojona, nie ubierała, lecz szpeciła ją jeszcze. Ale

Szpanowski tego nie widział, a ona o to nie dbała. Byle było czyste i całe!

— Chodźmy! — zawołał całując ją w czoło.

Z oficyn sto kroków było do pałacu. Przeszli milcząc — obojgu biło mocno serce.

W jadalni lokaje nakrywali do wieczerzy. Z salonu rozległ się silny, dźwięczny głos prezesa, a gruby śmiech pani domu.

— Ten nieoceniony prezes ze swym humorem — szepnęła Szpanowski — od trzech godzin prawi, aż wszystkich rozruszał.

Znaczyło to, że i macocha była wesoła, co się nigdy nie zdarzyło. Kazia uśmiechnęła się gorzko, nieznacznie.

Szpanowski drzwi otworzył. Jasne światło oślniło na chwilę dziewczynę, szumiło jej w głowie, nie wiedziała, co ma dalej ze sobą robić, jak się poruszyć, i zatrzymała się u progu, czując się beznamiętnie głupią i nieszczęśliwą.

Ale prezes czatował na tę chwilę, frazes urwał, podniósł się żywo z fotelu i szedł do niej uśmiechnięty, uradowany, z gotowym słowem.

— Witam panią. Dopominam się od godziny. Ale młodym do starych nieskoro. Panna Kazimiera nie dba o mumię prezesa. Za karę przywozłem swoją młodszą edycję. Pani pozwoli przedstawić sobie mego jedynaka. Proszę dla niego o sympatię.

Od stołu, gdzie przerzucał ilustracje, Andrzej wstał, składając ukłon „stylowy”. Przy tym jednym spojrzeniem objął postać dziewczyny i spotkał na sobie jej wzrok spokojny, poważny.

Egzamin trwał sekundę, potem Kazia nieśmiało podała mu rękę bez słowa. Nie umiała zdawkowych frazesów.

— Pani, jak zwykle zajęta. Jak to dobrze, że jutro święto. Skorzystamy przecie z pani towarzystwa! — mówił prezes.

Kazia spojrzała po salonie. Macochy nie było.

— Kiedy bo ja i w święto... mam zajęcie — rzekła spoglądając ku ojcu.

— Jutro robimy sobie wakacje — rzekł Szpanowski. — Panowie chcą obejrzeć gospodarstwo, urządzimy tedy wielką rewiew i paradę naszej rolnej armii.

— Ano, to będę wolna! — uśmiechnęła się Kazia.

— Pani lubi wakacje! — spytał Andrzej.

— O, lubię! — rzekła szczerze.

— To dowód młodości.

— Niekoniecznie! To dowód, że mam po czym odpoczywać.

— Racja! — zawołał prezes.

— Ja siebie do próżniaków nie liczę — zaprotestował Andrzej. — Pracuję także w biurze technicznym, ale żebym się tak bardzo cieszył z niedzieli... to nie!

— Bo pan ma ich pięćdziesiąt dwie na rok, a my na wsi żadnej — odparła Kazia.

— Jak to? Przecie na wsi także na ten dzień przerywa się roboty.

— Na roli. Ale inwentarz potrzebuje co dzień starania. Przeróbka nabiału nie przerywa się nigdy.

— Tak, tak — nasze zajęcie to rozwiązanie kwestii perpetuum mobile — zaśmiał się Szpanowski.

cdn.

6

w loju skórnym oraz pot stanowią na powierzchni skóry jakby płaszcz ochronny, który stwarza niekorzystne warunki dla rozwoju zarazków. Pewną rolę odgrywa również „oddychanie skórne”, które odbywa się głównie przez ujścia gruczołów łojowych i mieszków włosowych. Przez zrogowacenie naskórka odbywa się też wchłanianie wody w postaci pary wodnej. Rola wody w ogóle jest w utrzymaniu higieny skóry bardzo duża. Woda

działa na skórę zarówno przez swoją ciepłotę, jak przez zdolność usuwania zanieczyszczeń. Do mycia należy używać wody miękkiej. Najprostszym sposobem zmiękczenia wody jest jej gotowanie lub dodanie boraksu. Codzienne mycie i natryski odświeżają ciało lepiej niż całkowita kąpiel, która często trwa za długo i jest zbyt gorąca. Ażeby być czystym i wypielęgnowanym nie trzeba codziennie moczyć się w wannie, nawet nie jest konieczna

łazienka, aby zapoznać ciało z wodą i mydłem i oczyścić skórę. Jeśli jest do dyspozycji natrysk — tym lepiej! Natrysk wzmacnia napięcie tkanek i pobudza krążenie krwi — wie o tym każdy sportowiec.

Tylko oczyszczona skóra nie może być gładka i piękna. Dziwimy się nieraz, że skóra, mimo wielu kosmetyków i przesiadywania przed lustrem — nie tylko jest zwiótczała i zmęczona, ale ma również szerokie, zaczo-

powane pory, pryszcze, wagnery i zmarszczki. Są to często objawy własnej niedbałości. Wieczorne oczyszczenie skóry, niezależnie od godziny i naszego zmęczenia, musi stać się drugą naturą. Skóra musi mieć w nocy odpocznik i możliwość oddychania, aby powrócić do stanu prawidłowego po trudach całego dnia. Jeśli zaniedbamy wieczornego regularnego oczyszczenia skóry, to żadne kosmetyki nie pomogą!

A. M.

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy: Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorem: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Druk PZGraf., ul. Smolna 10. Nakład 25 000 egz. Zam. 887. M-80.



MARIA RODZIEWICZÓWNA

WRZOS

Minęli miasteczko liche i wydostali się między pola. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie kończyli roboty, od gajów i sadów szły cudne wonie.

Andrzej się uspokajał spokojem i pogodą otoczenia.

Stać się to musi, dał słowo matce, teraz ojcu, życie się jakos urządzi, wszyscy się przecie żenia, a iluż z miłości?! Nie wyglądają oni jednak jak ofiary i męczennicy.

Drogą przed nimi jechał parobczak z galicyjska przybrany, na drabiaku zaprzężonym w spaszle dwa siwe mierzyny. Jechał i okrutnie śpiewał. Stangret krzyknął, by ustąpił, ten ino batem śmignął i dalej gnał z góry.

I słyhać było jak z fantazją dalej śpiewał:

Siwy konik, siwy — malowane siodło,
Jakież mnie też lichu do dziewczyny wiodło?

Minęli go przecie i stangret mu batem pogroził. A ten się roześmiał tylko, błyskając zębami białymi i oczyma jak bławatki. Prezes do kieszeni sięgnął i rzucił mu rubla.

— To z Górów człowiek? — spytał stangreta.

— Nasz farnal, Stacho, co masło do kolei dostawia — odparł służący. — Pan go z Galicji wyrostkiem przywiózł! Tyle lat służy, to się rozbestwił!

— To już na górówskich jesteście gruntach? —

— A już — od lasu granicęśmy minęli.

Stacho farnal na boczną drogę skreślił, do folwarku, który czerwieniał swymi murami wśród pustych pól.

Olbrzymie obory tworzyły czworobok, ludzie się kręcili tu i tam, zadając wieczorną paszę, w budynku u bramy rozległ się gwizd centryfugi.

Przez otwarte okno tego budynku wyjrzała na turkot furgonu młoda dziewczyna w szafirowej płóciennej bluzie i zawołała Stacha.

— Masz kwit?

— Mam, proszę panienci.

— Dawaj żywo! Czegoś się opóźnił?

— Olaboga! Anim chwilczyny nie zmitrężył. Stangret Paweł może świadczyć co po warszawskich gości jeździł.

Chłopak ku stajniom ruszył i po chwili wrócił z kwitem w garści.

— Galantom zdał — wzięli za to dziewięć złotych, a tyle mi oddali! — rzekł kładąc na stoliku trochę srebra i miedzi.

Dziewczyna obejrzała kwit, wciągnęła go do ksiąg, których stos leżał na stoliku, odrachowała pieniądze, wpisała rozchód śpiesząc się bardzo.

Stacho stał i patrzył mnać w rękę rubla.

— Możesz iść — rzekła, oczu nie podnosząc.

— Konie paniencie zaprzęgać? — spytał.

— Naturalnie! Żywo.

— Ja chciał paniencie coś pokazać — uśmiechnął się. Spojrzała na niego.

— Dostałem od tych gości, co do dworu pojechali — rzekł pokazując rubla.

— Za co? — zdziwiła się.

— Albo ja wiem. Jechałem se śpiewając — minęli mnie — było dwóch — jeden stary, drugi młody. Ten stary rzucił mi paperek.

— No — było podziękować — rzekła chmurno, zbierając kapelusze i rękawiczki.

Stacho głową pokręcił. Z tą swoją panienką był on trochę kolegą. Gdy malcem przywieziono z Galicji — sierotę — szukali razem gniazd w sadzie, a potem ona go czytać i pisać uczyła.

Dziś na stacji Paweł stangret gadał z lokajem, że po kawalera do panienci przyjechali.

Stacho chciał się koniecznie dowiedzieć, czy to prawda, a jakoś nie śmiał. Panienci była gniewna czy zmartwiona, nie chciała rozumieć.

Pokręcił Stacho głową, westchnął i poszedł konia zaprzęgać.

Młoda dziewczyna rozmówiła się jeszcze z pisarzem i dozorcą mlecznym i wyszła przed się.

Stacho już zajeżdżał jednokonną bryczką.

Wsiadła do niej i ruszyła za białą. Koń znał drogę, codziennie dwa razy ją odbywał, o świcie i późnym wieczorem.

Dziewczyna tedy nie kierowała nim i wolno puściwszy lejce rozglądała się po polach.

Wiedziała, kto są goście i w jakim celu przejeżdżają, że tam czekają na nią, że się opóźniła czekając na Stacha, przecie się nie śpieszyła. Wzrok jej spoczął na kępce drzew na horyzoncie i wahała się.

Nagle targnęła lejce, skreśliła konia i tęgim klusem ruszyła ku tej kępce drzew, pozostawiając Górów na stronie. Spóźni się jeszcze o godzinę, ale być tam musi dziś jeszcze.

Łuny zachodu już gasły, przejrzysty, cudny zmierzch ogarniał krajobraz, po gajach zawodziły słowiki.

Smagłe policzki dziewczyny pałały ogniem, usta kurczyły się bólem, oczy były pełne łez.

Polną drożyną sprostowała odległość i wjechała na podwórze gęsto krzewami zarosłe, pod drewniany stary dom, stojący wśród zdziczałego sadu.

Na ganku stara kobieta siedziała samotna.

— To ty, Kaziu! — zawołała zdziwiona. — Skądże... w roboczy dzień, wieczorem. Jakżeś się uwolniła?

Dziewczyna uwiązała konia do ganku i stanęła przed nią dysząc, jakby pieszo tu biegła.

— Wcalem się nie uwolniła. Jadę z Porębów do dworu. Zboczyłam do babci — na chwilę — po ostatnie słowo. Prezes przyjechał z synem po ostateczną decyzję.

Umilkła chwilę, połknęła może łzy.

— Czy on już nie wróci, babciu? — szepnęła.

Staruszka potrząsała głową żałośnie.

— Oj nie, oj nie! — odparła głucho.

— Bo ja mu przecie łamię wiarę! — ponuro rzekła dziewczyna. — Babcia choć nie wierzy, chroni mu przecie ten dom i szmatek ziemi... i czeka... a ja... mam zdradzić?

POZIOMO: 1) szabla od parady, 5) uczucie pieczenia w przelyku, 10) ciągnik, 11) teren wokół czegoś, 12) wprawa, doświadczenie, 13) drewniany sprzęt kuchenny, 15) twórca wyprzedzający w jakiejś dziedzinie współczesną mu epokę, 16) izba klasztorna, 19) statek Noego, 21) zawiera wykaz dni całego roku, 25) tytułowy bohater noweli Sienkiewicza, 26) destrukcyjna działalność czynników atmosferycznych na powierzchni Ziemi, 28) bezżenność duchownych, 29) pracownica drukarni, 30) magazyn, 31) na inkaust.

PIONOWO: 1) zasłona, portiera, 2) „Ewa” w Świerku k/Warszawy, 3) nauka o roślinach, 4) nie kryty wagon, 6) wedle stawu, 7) miasto nad Kłodnicą, 8) inspektor, rewizor, 9) ruchome przepierzenie, 14) muzyk kościelny, 17) część kościoła, 18) cześć, uwielbienie, 20) wyznawca religii chrześcijańskiej, 22) zapas, zasób, 23) instrument sygnalizacyjny, 24) okup, 27) część uprząży.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 51

POZIOMO: Lotyszka, objaw, strzala, rarytas, Oberon, statysta, partytura, kadr, ospa, inkubator, przewaga, gaźnik, Estonia, marabut, skład, profesor. **PIONOWO:** łeśket, torpeda, starosta, kram, Boruta, artysta, kryterium, eskadra, stenogram, kompres, paragraf, przytyk, omnibus, świnka, skuter, smar.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 47 nagrody wylosowali: Teresa Skrzycka z Gdańska-Oliwy i Juliusz Markowski ze Szczecina. Nagrody przesyłamy pocztą.

KRZYŻÓWKI nr 3

